

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXIV

WARSZAWA, DNIA 17 STYCZNIA 1931 ROKU

NR. 3

TREŚĆ NUMERU: „Lepszość“ świata kobiecego — *Janina Strzelecka*. Miss Johnson — sława lotnictwa angielskiego w Warszawie — *Trzcńska-Kosterbina*. Niania — *S. Borowska*. Niema powrotu (nowela) — *Kazimiera Mazurkova*. Wyspa Majorka i wspomnienia pewnej zimy — *Wanda Germain*. Powstanie pierwszej specjalnej organizacji ochrony ptaków w Polsce. Z książek — *S. P. O.* Książki nadesłane do Redakcji. Są wszędzie: w sporcie, podróżach i przemyśle. Kobieta w świecie i w domu. Nasza Mównica. Jak kobiety zelektryfikowały Anglię — *E. Borowska-Treadwell*. Droga do szczęścia — *Wanda Dobrzańska*. Modne drobiazgi balowe — *Ma-bel*. Monetka-aksamitka — *Prof. Feliks Teodorowicz*. Premje książkowe dla Prenumeratorek „Bluszcza“. Masło i inne tłuszcze jadalne — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Mody i roboty“. O sukniach krótszych — *Well*. Arkusz wzorów.

„LEPSZOŚĆ“ ŚWIATA KOBIECEGO

Nie wiem, czy istnieje podobny rzeczownik, nie mam pod ręką Lindego, ale zgóry się rozgrzeszam, o ile owa „lepszość“ jest nowotworem mojego pomysłu. Żyjemy przecież w dobie tak niesłychanych dziwołagów językowych, że „mój“ wyraz wcale tak bardzo nie razi.

Razi natomiast owa, do umęczenia ostatecznego powtarzana wszędzie, na każdym kroku, przy każdej okazji — teoria o świecie kobiecego lepszości. „Kobieta jest o całe niebo więcej warta od mężczyzny“; „kobieta jest bardziej ideowa, szlachetna“; „kobieta wnosi do każdej pracy atmosferę ładu“; „w życiu uczuciowym kobieta góruje wielkością serca, ogromem poświęcenia, a przede wszystkim — wspaniałością“.

Aż mdli, tyle pochwał, aż się człowiek wewnętrznie krztusi, tyle kadzidla; ale nade wszystko ten lekko ironiczny i sceptyczny „unser einer“ krzywi się z niesmakiem, patrząc na owo wtaczanie „feminy“ na jakieś niebotyczne szczyty etyki, wzniosłości i t. d.

Wogóle, skąd ta podświadoma tęsknota (skoro twierdzi się, że coś jest, czego niema, no, to pragnie się, aby tak było — mówiąc stylem niezapomnianego Szwejka) za tronem na szczytach? Skąd ten pęd do przypisywania kobiecie cnót i wartości, prawie uniwersalnych?

Wogóle, co to jest świat kobiecy? To jest jeszcze ciągle szkic dopiero, co najwyżej drugi dzień tworzenia, początek emanacji sił, a przede wszystkim ich możliwości. W tym świecie zmobilizowała się zaledwie garstka walecznych, tych, co szeroko oczy na świat

(wogóle świat) otworzywszy, szukają wytrwale, a zapobiegliwie punktu oparcia, aby ziemię poruszyć z posad, o ile tego nie uczyniły już wszelkie dawniejsze kataklizmy, przewroty i rewolucje.

A masa, a tłum, ów świat kobiecy zamieszkujący? Oh, bierne tworzywo, nieruchoma masa, niewidzący, niewiedzący spektator, tak ciągle jeszcze nieświadomy celu swego istnienia. W bardzo ciasnym horyzoncie zainteresowań, w maleńkim, ograniczonym kręgu działania owa kobieta nosi na sobie, niestety, wciąż jeszcze kajdany niewolnicy, jest ciągle jeszcze o wiele bardziej samica, aniżeli kobietą, o wiele bardziej kobietą, aniżeli człowiekiem...

Czy jest szlachetniejsza od mężczyzny? Bardzo często jest się szlachetniejszym dlatego, że się nie ma okazji do grzechu, i słusznie ktoś powiedział, że owo „i nie wódz nas na pokuszenie“ jest stałym uświadamianiem sobie własnej słabości. Czy jest naogół szlachetniejsza od mężczyzny kobieta t. zw. współczesna, rywalizująca z nim na wszystkich polach działania, na wszystkich odcinkach, od sportu począwszy, na mistycyzmie i teozofji skończywszy?

Na tem miejscu nie może być mowy o szlachetności wogóle, raczej o pewnej sumie energii, o pewnej pasji, z jaką oddajemy się pracy, czy poczynaniu, które nas interesuje, o możliwie najlepszym i gruntownym przygotowaniu. Czy kobieta bije pod tym względem rekord? Usiłuje — to napewno — jest przecież tak często jeszcze nowicjuską, więc wkłada moc starań i pracy w to, co robi. Krytyka wobec niej jest stokroć bardziej surowa i wymagająca, ale gdy się

z nią oswoi, gdy przestanie być wyjątkiem na bardziej eksponowanych placówkach, być może zacznie i ona wносить ów pierwiastek nieznośnego zblazowania, które cechuje tak niefortunnie nazwanego „pana stworzenia“.

Muszę się przyznać, że mam moc okazji do obserwacji — jeżeli chodzi o różne rodzaje pracy mężczyzn i kobiet. Biorę w tym wypadku dziedzinę pracy społecznej. Nigdy może tak wiele nie mówiło się i nie pisało o społecznej pracy kobiet, jak w dobie obecnej. I przyznaję z najwyższą radością, że coraz szerszy ogół garnie się do tej pracy z tych, czy innych pobudek. Charakterystyczne dla kobiet, pracujących społecznie, jest to, że nie doceniają swej pracy, nie ustalają tej pozycji w bilansie ogólnym, stawiają ją wciąż jeszcze na poziomie akcji filantropijnej. Te najwybitniejsze, te właśnie „stuprocentowo-szlachetne“ bardzo często pozostają w cieniu, nie sięgając po laury, które zgarniają jednostki sprytne, o silnie wyrobionych łokciach, jednostki, które zapas karjerowiczostwa posiadają nie w mniejszym stopniu, aniżeli mężczyźni. Mają jeszcze trochę mniej rutyny, ale to przyjdzie z czasem.

Użyłam tu określenia „karjerowiczostwo“ w zwykłym znaczeniu ujemnym tego wyrazu, odróżniając go od t. zw. „robienia karjery“.

U nas wciąż jeszcze mówi się z przekąsem o tem drugim. Wciąż jeszcze pokutuje pojęcie, że człowiek, który pracuje, nie powinien opływać w dostatki, ale gros energii zużywać na ciężką, zabijającą walkę o byt powszedni. Niech tam sobie sprytna mienota dochodzi do powodzenia i.. sławy.

I oto marzeniem mojem jest, aby ci zdolni i zdolne, wybitni i wybitne nauczyli się nareszcie robić ową karjerę w dobrem, europejskiem tego słowa znaczeniu. Niech się nauczą torować sobie drogę, niech nie mają przesadnych, niezliczonych skrupułów; niech nie ustępują owym niepowołanym, opancerzonym w spryt, przebiegłość, niech sami się w ów spryt i przebiegłość uzbroją! Jakże nieskończenie wiele zyska na tem sprawa, interes ogółu, jeżeli w sporcie boksu życiowego wykształcą się zdolni, szlachetni ideowcy, właśnie dla dobra sprawy!

Ciągle i na każdym miejscu radabym wpajać w świat kobiecy poczucie własnej wartości, z której nie zdaje sobie sprawy; poczucie wartości swej pracy i woli zdobywania odpowiedniego ekwiwalentu za ową pracę. Brak uświadomienia pod tym względem jest dla mnie właśnie cechą ujemną, przypomina mi przypowieść o zakopanych talentach.

Wracając do miernot karjerowiczowskich, nie mogę pominąć milczeniem owego tylokrotnie piętnowanego posługiwania się tytułami mężów. Oto jest atut w walce o powodzenie! I gdyby ktoś chciał dyskutować ze mną, broniąc owej „lepszości“ kobiet, posłużyłabym się może tym jednym tylko argumentem: „tytułomanja“, która dochodzi dziś niekiedy do rozmiarów wręcz potwornych. Byłam świadkiem takich

scen i takich rozmówek, że gdybym je tu przytoczyła, potraktowanoby je, jako dowcip, czy dialog z humorystycznego pisma.

Ale jeden kwiatek (rosnący wszędzie) powtórzę. Oto przy obsadzaniu godności honorowych zdarzyło się, że wyższą godność przyznano pani, której mąż piastował niewysoki urząd. Inna kandydatka, żona osobnika ze stanowiskiem wyższem, zagroziła, że postara się o dymisję dla męża rywalki, jeżeli tamta otrzyma ową godność. To nie są bynajmniej wypadki sporadyczne. I mów tu o lepszości! Jednak wśród mężczyzn owa tytułomanja nie przybiera tak karykaturalnych rozmiarów.

Jak często spotkać się można na gruncie pracy społecznej z zawiścią, z intrygami, z „zasługomanją“. Potężne to chwasty, ale na pociechę muszę dodać, że do ostrej walki z wykorzystywaniem tytułu męża przystąpiono już w kilku poważnych organizacjach kobiecych.

Pisząc to wszystko, obawiam się, że jak ongi po jednym z moich artykułów, posypią się na mą głowę liczne zarzuty, iż nie doceniam kobiety. Oh, par exemple, doceniam, i to bardzo! Twierdzą tylko, że w masie ma wiele tych samych wad, co mężczyzna.

Naprzykład nasze urzędniczki, czy biurowe aniołki! Konia z rządem temu, kto mi powie, że woli mieć do czynienia z urzędniczką, aniżeli z urzędnikiem. Boże mój! ile oschłości tu i tam, ile nonszalancji, ile braku uprzejmości! Bo przecież uprzejmość, sumienność, kurtuazja — to zawsze skutki wysokiego stopnia kultury wewnętrznej, a tej brak nam naogół, niesłuchanie, nietylko mężczyznom, ale i kobietom. Pod tym względem bardzo nam jeszcze daleko do Zachodu i niema co owej „lepszości“ na tem miejscu wymienian, bo i tu może być mowa tylko o wyjątkach.

Niestety, wśród kobiet jeszcze jest wiele zła, a już tyle cynizmu. Pisałam niedawno o oportunizmie, tolerancji, zaniku sumienia, obojętności wobec kobiet, które jawnie, wyrafinowanie zdobywają mężczyznę, mającego żonę i dzieci. Nie będę wracała do tego tematu, gdyż jestem pewna, że ów artykuł wywoła gorącą dyskusję, bo nad sprawą owych dzisiejszych „amoureux“ w podlegszym stylu nie podobna przejść do porządku dziennego.

Jeżeli bowiem na początku niniejszych rozważań mówiłam o inercji mas kobiecych, a raczej o braku świadomości i poczucia utajonych sił, które w nich tkwią, to zdaję sobie sprawę, jak olbrzymią rolę kobieta może i powinna odegrać, i dlatego zwracam uwagę na jej wady i ciemne strony. Właśnie chciałabym trochę rozwiać aureolę, jaką otacza się kobietę u nas wogóle. Obserwuję niekiedy te tłumy „żon i wzorowych matek“ w kawiarni, na dancingu, w Zakopanem, czy nad morzem; obserwuję na zebraniach w szkole na przykład; ach, obserwuję i elitę, no i pewne incydenty, o których wszyscy wiedzą, mówią, ale pocichu.

Obserwuję ciągle, bacznie, nieustępliwie świat kobiecy i z bólem muszę stwierdzić, że brak kobie-

tom poczucia solidarności, co stanowi wielki ich minus; brak również tego, co Niemcy nazywają „Kameradschaftsgefühl“ — uczucia koleżeństwa i koleżeńskości. Specjalną zwracam na to uwagę, bo może wśród tysiąca zdewaluowanych po wojnie wartości, pojęć, uczuć, owa koleżeńskość nie tylko się nie przewartościowała, ale, na podstawie całego szeregu powieści wojennych możemy stwierdzić, że podniesiona została do godności niezwyklej. Nazwałabym to poczucie koleżeństwa rozwiniętą zdolnością życzliwego współżycia, serdecznej współpracy, gotowości pomocy w najgorszych i najcięższych chwilach. Tego brak kobietom, które nie doceniają wartości przyjaźni, a tak często skazane na samotność, nie doceniają wartości ludzkiego życzliwego stosunku człowieka do człowieka.

Reasumuję sobie to wszystko i dochodzę do wniosku, że kobieta nie jest specjalnie lepsza od mężczyzny, a lepszą wydają się może dlatego, że nie wkroczyła jeszcze całkowicie w szranki życia; ale gdy to nastąpi, nie dałabym głowy za to, czy ów szumnie proklamowany sztandar etyki będzie zawsze wysoko i dumnie nad nią powiewał. I dlatego chcę przesadnie nieco pojęcie o kobiecie sprowadzić na ziemię, albowiem bardzo pomaga do grzechu żerowanie na utartej i błędnej opinii.

Właśnie, czas z tem skończyć. Równe prawa, równe obowiązki, wymagania i ostra, bezlitosna krytyka, jeżeli kobieta na nią zasługuje. Żadnych forów i żadnych ustępstw. Pobudzanie do samokrytycyzmu i bilansowania istotnych walorów — oto, zdaje mi się, jedyna droga do „lepszości“, ale nie życie na kredyt pewnych urojonych i przesadzonych nadwartości.

Janina Strzelecka.

MISS JOHNSON — SŁAWA LOTNICTWA ANGIELSKIEGO W WARSZAWIE

Miss Amy Johnson — najpopularniejsza lotniczka Anglii, a od dni dziesięciu, najpopularniejsza kobieta w Polsce, gdyż osoba jej, opisywana we wszystkich naszych dziennikach i tygodnikach, jest na ustach wszystkich, — sprawiłaby prawdziwy zawód temu, kto, sądząc po rozgłosie, jaki ją otacza, chciałby w niej ujrzyć istotę o sensacyjnym wyglądzie.

Już na pierwszy rzut oka Miss Johnson wprawia człowieka w zdumienie: jakto?! Więc to ta drobna, szczupła Miss przeleciała w maju roku zeszłego sama, w ciągu siedmiu dni, całą Europę, Azję Mniejszą i Indje Zachodnie aż do Kalkuty?? a stamtąd przez Indje Wschodnie aż do Australji?! Ta drobna, szczupła Miss, o bladawej, delikatnej cerze i dużych jasnych oczach, ubrana w skromną sukienkę granatową z różowym kołnierzykiem, robiąca wrażenie pracowitej i pilnej urzędniczki jakiegoś banku londyńskiego??

A jednak — tak jest w istocie. Jest to Amy Johnson — kobieta, na którą czekały na poszczególnych etapach jej gigantycznego lotu zeszłorocznego depeze od ministrów brytyjskich i której przyjęcie za jej powrotem do Londynu było jedną, nieustającą przez szereg tygodni, owacją...

Na czym więc polegał ów lot, czemu był ten wyczyn, który zrobił w ciągu dni kilkunastu wszechświatową bohaterkę ze skromnej i miłej panny angielskiej? Postaramy się wytłumaczyć to w krótkości.

Lotnictwo sportowo-turystyczne w Anglii rozwinięte jest tak, jak nigdzie na świecie — poza Stanami Zjednoczonymi — i sportsmenki brytyjskie uważają obecnie samolot przede wszystkim, jako *najdogodniejszy sposób podróżowania*; to też liczba kobiet-pilotek w Anglii wzrasta bezustannie.

Angielka, posiadająca swój własny, lub wynajęty samolot i pilotująca go osobiście, nie wzbudza już żadnej sensacji w swej ojczyźnie, gdyż lotnictwo sportowe przestało już dawno być na Zachodzie jakimś strasznym ryzykiem, czemś, na co waży się tylko ludzie „zdecydowani na wszystko“.

Jednakże i wśród tych „air sport ladies“ znajdu-

ją się kobiety ambitne, silne duchowo i fizycznie, którym nie wystarczają już spokojne podróże powietrzne; sięgają one coraz częściej i z coraz większym powodzeniem po różne rekordy lotnicze, których osiągnięcie wymaga specjalnie silnych i męźnych natur.

Taką była — głośna przed trzema laty — ładna *Elliott Lynn* — (obecnie lady Heath); taką jest Miss *Winifried Brown*, zdobywczyni angielskiej nagrody królewskiej na zawodach lotniczych w roku minionym, która zwyciężyła najlepszych pilotów angielskich; taką jest znana i Warszawie, gdzie była dwukrotnie przelotem, Miss *Winifried Spooner*, nieustraszona w swej odwadze i przebywająca obecnie *sześćdziesiąt godzin* w powietrzu do rekordu na lot wytrzymałości, i wiele, wiele innych.

Jednakże, chociaż wyczyny tych wszystkich pań są świetne, najwięcej zdumiewającym z nich jest bezwarunkowo lot Amy Johnson, skutecznie zakończony na trasie Londyn — Australja, bodajby dlatego, iż dokonała go dwudziestoparoletnia kobieta, lecąc *zupełnie samotnie*, t. j. nie mając do pomocy i obsługi swego płatowca nawet mechanika. Ponadto pobiła ona swym raidem uprzedni rekord na tej samej trasie znanego pilota — anglika *Berta Hinklera*, przebywając całą drogę w czasie *krótszym o trzy doby*.

Miss Amy miała w ciągu swego lotu parę wypadków, które mogły się skończyć dla niej bardzo groźnie; dała sobie jednak zawsze radę, to też nic dziwnego, że Anglicy mówią o niej z dumą, iż jest „równie dobrym pilotem, jak mechanikiem“ — co jest już naprawdę nadzwyczajne u kobiety, która parę lat temu jeszcze siedziała w biurze, pisząc na maszynie, lub stenografując handlową korespondencję!

A jednak... ileż to wysiłków, ile energii, ile poświęceń trzeba było ponieść, by przejść z tego biura do szkoły pilotów jednego z aeroklubów angielskich, ukończyć przeszkolenie i wprawiać się przez trzy lata w długotrwałe loty; by móc dokonać wreszcie raidu do Australji?!...

Ale po latach chudych przyszły lata tłuste i oto

Miss Amy, obdarzona odznaczeniami i nagrodami pieniężnymi, może sobie teraz kpić z pracy biurowej, której tak nie lubi, i może latać, ile dusza zapagnie. A tego właśnie tylko trzeba tej pięknej i mężnej duszy; to też nie dziwnego, iż parę miesięcy „odpoczynku” po Australji — t. j. nic nieznaczących już dla niej lotów nad Anglią — znużyły lotniczkę, przywykłą do silnych wrażeń i zdecydowały ją do rozpoczęcia nowego raidu.

Trasa jego?? Och, niezbyt straszna! „Tylko” z Londynu przez Moskwę i Syberję do Pekinu... Choć Miss Amy nie widzi w tem nic nadzwyczajnego, przygotowuje się jednak do lotu w głębokiej tajemnicy, bojąc się, widocznie, wrzawy protestów.

W sam dzień Nowego Roku, ubrana, jak zwykle w zielony skórzany płaszcz, także spodnie oraz wysokie zamszowe brązowe buty lotnicze, wsiada Miss, jak gdyby nigdy nic, do swego „Jazona” — znanego angielskiego sportowego płatowca marki „Gipsy-Moth” — i startuje do lotu: Londyn — Pekin.

Po jakimś czasie jednakże mgła i burza śnieżna, która lotniczkę ściga po drodze, zmusza ją do lądowania pod Kolonją, skąd nazajutrz leci do Berlina, a stamtąd — do Warszawy.

W Polsce trafia znowu na zawieję, a przede wszystkim na bardzo gęstą mgłę, która jest najgorszym i najzawziętym wrogiem lotników, i traci wskutek tego nieco orjentację, tembardziej, iż spychana jest w kierunku północnym przez silny wiatr przeciwny.

Zmarznięta, czując, że zlodowaciałe ręce odmawiają jej posłuszeństwa, błąka się Miss Johnson godzinę jeszcze nad nieznanym sobie krajem, aż wreszcie, wyczerpana, ląduje na pierwszym lepszym dogodnym, a jako tako możliwym terenie. Przy lądowaniu



Amy Johnson.



Miss Amy Johnson w gościnie u księdza kanonika Serejki.

samolot, który wpadł w bród, staje „dęba”, roztrzaskując w drobne kawałki śmigło i uszkadzając podwozie. Sama Miss wychodzi z opresji tej bez szwanku.

Dziwnym trafem wieś, na której gruntach ląduje angieltka, nazywa się *Amelin* (pod Krasnosielcem, woj. warszawskie), a imię lotniczki jest *Amy* — czyli *Amelja*...

W ten sposób polski *Amelin* przyniósł szczęście angielskiej *Amelji*, gdyż lądowanie mogło się gorzej skończyć — i to jest *pięrośza korzyść* dla Miss z przylotu jej do Polski. Drugą korzyścią jest przypadkowa jej gościna, aż do czasu przysłania samochodu z Warszawy z wysłannikiem ambasady brytyjskiej, w domu polskiego proboszcza — ks. kanonika *Serejki* z Krasnosielca, oraz trzydniowy pobyt w Warszawie, dzięki czemu Miss zapoznała się trochę z polską gościnnością i serdeczną życzliwością, jaką w nas wzbudziła.

Wrażliwa i subtelna dusza Miss Amy potrafiła trafnie ocenić tę sympatię, czemu dała wyraz w specjalnem piśmie do Polskiej Agencji Telegraficznej, w którym wyraża głęboki żal, iż nie może zostać dłużej w kraju tak „extremely” (nadzwyczajnie) gościnnym i serdecznym.

W chwili, gdy piszę te słowa, Miss Johnson dojeżdża zapewne do Moskwy, dokąd się udała pociągiem, by nie tracić czasu na jałowem oczekiwaniu, aż będzie ukończony remont jej płatowca w Warsztatach Polskich Linij Lotniczych, a jednocześnie, by porozumieć się z lotnikami sowieckimi co do możliwości przelotu nad Syberją w obecnej porze roku.

Decyzji tej można tylko przyklasnąć, gdyż wznajemy szczerze, że solidaryzujemy się najzupełniej z niepokojem, z jakim pisze lwia część prasy angielskiej o zamierzonym locie nad Syberją Miss Johnson. Chociaż wytrzymałość fizyczna i nerwowa słynnej lotniczki jest potężna, jednakże lot, którego pragnie dokonać, mógłby przewyższyć jej siły.

Trzciska-Kosterbina.

N I A N I A

Niania nazywa się także Nastusia, lub bardziej oficjalnie: Wojciechowa.

Nastusia — dla „starszego pana“, który przyjął ją kiedyś na służbę do swego rocznego synka. Dźwigała malca z wysiłkiem, wypinając brzuszek. Potem, gdy podrosła, a pan doczekał się innych dzieci — nianczyła je pokolei.

Tytuł „Wojciechowej“ głosi bez komentarzy, że życie jej nie upłynęło całkiem monotennie. Że, nagotowawszy do syta kaszy manny i krakowskiej dla cudzych brzdąców — zaczęła w pewnej chwili obierać ziemniaki i warzyć strawę dla swojego chłopca i własnego drobiazgu. Ale niedługo. Umarli synek i dwie córeczki Nastusi, a i sam Wojciech „podyrdał“ skwapliwie do nieba, nie bacząc na łzy żony.

Powróciła do pana, który owdowiał również i potrzebował opiekunki dla dzieci. Przebyła u niego parę lat. Potem nianczyła niemowlęta najstarszego pannie — a gdy panienka wyszła za mąż, zamieszkała u niej na długie lata, aż do dzisiaj, w roli nianki.

Wojciechowa jest stara, ale jeszcze zdrowa. Mądra i łagodna. „Najstarsi ludzie“ nie pamiętają, aby się kiedykolwiek rozgniewała, czy podniosła głos. Ma twarz pogodną, żółtą, mało pomarszczoną. Włosy siwe zwija w twardy kłębuszek na tyle czaszki, jak większość kobiet jej stanu. Od niedawna dopiero nosi okulary. Tylko zębów nie ma już wcale. Jada z państwem przy stole, obok Wiesia lub Niusi. Sypia w pokoju dzieciennym. Należy już do rodziny, nie do służby, i tak będzie do śmierci. Chodzi cicho, w pantoflach wołkowych, a choć obowiązkiem jej są tylko sprawy dzieci, potrafi zrobić wszystko inne i to zawsze najlepiej.

Nigdy nie zabiera głosu, chyba zapytana bezpośrednio, a odpowiada często przysłowiami — niby jakiś mazurski Ben-Akiba, leśny dziadek, który słyszy, jak trawa rośnie, i rozumie mowę ptaków.

Więc gdy ją pytają, czy sądzi, że nie zawcześnie jest, aby Irka wychodziła za mąż w szesnastym roku życia, mówi wstydliwie:

— „Zbierać“ grzyby, póki są — wydać pannę, kiedy chcą.

Innym razem twierdzi, że „lepiej wydać na piekarza, niż na lekarza“, albo: „kto z sobą nosi — nikogo nie prosi“.

To ostatnie dotyczy faktu, że, idąc z dziećmi na spacer, zabiera klucz od zatrasku, aby potem nie czekać na schodach zmiłowania lekkomyślnej Brońci.

Niema człowieka w domu, który nie doświadczyłby od niani czegoś dobrego, jest dobrą więc i dla mnie, choć założyłam moje nieprzytulne, iście wronie gniazdo, na najbardziej zewnętrznej gałęzi tego drzewa, którym jest dom jej państwa.

Wracam naprzykład późno do domu, zziębnięta i mokra od deszczu.

List z bardzo dalekiego kraju, który doszedł do

moich rąk, pomimo wadliwego adresu, jak zły los, co nie może zmylić drogi — i otrzymane wczoraj wy-mówienie z biura, gdzie pracuję:

„... jak gniew Allaha,
Jak sznur jedwabny z rąk padyszacha,
Gdy niemy Tatar przyniesie...“^{*)}

rozbiły w puch mozołnie, od wielu miesięcy budowany spokój.

Nieszczęścia chodzą parami. Nie pomogła magja taśmy filmowej, ani daleki spacer pod Mokotów, przez zalane deszczem ulice. Wracam do domu i siedzę: ani jeść, ani spać, ani cerować pończoch!

Zwyciężyłeś, Saturnie, „Infortuna major“ starożytnych astrologów!

Pukanie do drzwi i wsuwa się głowa niani.

— Czy nie napiłaby się pani gorącej herbaty?

Ach, co mi po herbacie!

Ale Wojciechowa wchodzi. Cichym, spokojnym głosem powiada:

— Pani się położyła, a dzieci już dawno śpią...

Nalewa mi herbaty. Sadzam ją na kanapie obok siebie i patrzę. Mówi coś do mnie. Pewnie nic ważnego, ale głos, uśmiech i trzymany w ręku biały, ze złotym paskiem imbryczek oddziałują przemożnie.

Wbijają klin pomiędzy rzeczywistość, a świat moich psychicznych udręczeń. Co jest — a co mi się tylko wydaje? Czyż nie jest prawdą niania, faktem, że pani się położyła, a dzieci usnęły? Herbata rozgrzewa mnie.

Tamto jest uludą chorych nerwów: nad głową mam jeszcze sufit z białą rozetą, w rogu pokoju piec ciepły. Przy mnie: Wojciechowa z imbryczkiem w ręku. Chwytam się tej rzeczywistości. Owijam dookoła głosu Nastusi. Tamto jest nieprawdą, istnieje może jako fakt, ale nie jako udręczenie.

— Niechże pani idzie do łóżka...

Gdy nianiusia odchodzi, obejmuję ją za szyję.

Nie zazdroszczę nikomu i niczego. Nie potrafiłabym sklecić w wyobraźni jakiegokolwiek mirażu tak zwanego „szczęścia“. Mierzi mnie ludzkie szczęście w każdej formie i pod każdą postacią. Ale pragnęłabym bardzo uzurpować sobie maleńki kącik w sercu pani Wojciechowej. Chciałabym pijać co wieczór gorącą herbatę z fajansowego imbryczka, nalewaną jej prostemi, żółtymi rękami, tak zupełnie niepodobnymi do pięknych, długopalcych rąk kłamców, dusicieli i okrutników.

Wsuwam się pod kołdrę. Bodaj się takie nianiusie na kamieniu rodziły! Ale właśnie, że już się nie rodzą. Wymierający to gatunek, jak szlachetna rasa bobrów i soboli.

S. Borowska.

*) K. Ujejski: „Lazara“.

NIEMA POWROTU

(Novela)

I.

Pani Aniela zapłaciła z pośpiechem tragarzowi, a gdy wyszedł, raz jeszcze przeliczyła wzrokiem swoje pakunki. Bilardzik dla Jurka, walizka, druga mniejsza, książki dla Jurka, małe paski z poduszkami na jego tapczan, ciastka... Chyba wszystko.

Teraz dopiero obejrzała współtowarzyszkę podróżną. W kątku pod oknem siedziała młoda studentka, naprzeciw niej mama z dwiema córeczkami. Ta starsza pewno w wieku Jurka. Nawprost pani Anieli rozmawiały ze sobą dwie panie — takie sobie. Wogóle towarzystwo było możliwe. Z westchnieniem ulgi zdjęła kapelusz. Jasne włosy rozsypały się promiennie wokół zmęczonej twarzy. Bolała ją głowa i czuła w skroniach ten cały przedwyjezdny zamęt. Jak dobrze, że to już. Niech Marysia daje sobie radę sama, jak może; przez te kilka dni nie chce już słyszeć o niczym.

O niczym, co nie jest Jurkiem.

Zdaje się, że był tu gdzieś rozkład jazdy, na pewno był. Ale gdzie? W płaskiej walizeczce? Zdjęła walizczkę. Rozkład chyba jest w dużej. Zdjąć, czy nie zdjąć? Taka ciężka... Ale trzeba się przekonać, o której dokładnie przyjedzie i zobaczy Jurka. Chyba ojciec pozwoli mu wyjść na dworzec? Rozejrzała się przez okno: niebo bez chmurki. Chociaż ten szarawy odcień na horyzoncie... A gdyby był deszcz? Jurek, naturalnie, siedziałby w domu. I zobaczyłaby go o dwadzieścia minut później. Czy można wytrzymać przez dwadzieścia minut, nieprzewidzianych od początku?

Więc ten rozkład. Z Warszawy o dwunastej minut dwadzieścia trzy... To ten.

Cienki palec przesunął się niecierpliwie po kartkach księgi. Coraz bliżej Jurka — o trzeciej popołudniu będzie już na pół drogi. A o piątej z minutami już blisko — w tem samym mieście, o ile nie upadnie deszcz... A jeśli pogoda, to z nim...

Cienki palec zatrzymał się. Na błękitne, wół-przytomne oczy nasunęły się powieki. Na zmęczonej twarzy rozlał się nieświadomy, błogi uśmiech odprężenia po długiej, długiej udręce.

Już od pewnej chwili wszystkie panie w przedziale „dla dam“ zajmowały się ostatnio przybyłą towarzyszką. Jej nerwowe ruchy i gorączkowy pośpiech, z jakim przedstawiała rzeczy, robiły wrażenie raczej przykre. Tylko, że pięknym twarzom tyle się wybacza!

Małe dziewczynki przycichły i przyglądały się pani Neci z uwagą. Młodsza zapytała matki głośnym szeptem dzieci:

— Mamu, czy ta pani śpi?...

Pani Necia uśmiechnęła się leciutko, nie otwierając oczu.

— Mamu!... ta pani się śmieje!... Dokąd ta pani jedzie?...

Pani Necia raptownie otworzyła oczy i roześmiała się głośno.

— Chcesz wiedzieć, malutka? Chodź do mnie: opowiem ci, dokąd jadę.

Zażenowana mama przeproszała za swoją małą, starała się zająć dzieci czym innym. Ale pani Aniela w jakiś gorączkowy sposób chwyciła się myśli o rozmowie z dziewczynką. Opowie jej o Jurku! Dzieci chętnie słuchają opowiadań o dzieciach. W ten sposób będzie prędzej przy nim, będzie z nim przez cały czas.

— Niech pani pozwoli! Ona taka miła... Ja umiem zabawiać dzieci! — prosiła błękitnymi oczami.

Posadziła małą na kolanach. Przydałoby się coś słodkiego na przełamanie lodów... Przebiegła myślą walizki. Ciastka — nie, to dla Jurka. Pudełko czekoladek — jakże, otwierać bez Jurka? Kolorowe groszki, pasta, chałwa — to wszystko jego ulubione przysmaki, nie może ani żdziebelka na inny cel.

Prawda! w torebce ma parę cukierków „na drogę“ dla siebie.

— Jak ci na imię, śliczny bobasku? — zapytała maleńkiej.

— Kizia! — odpowiedziało dziecko, odwijając cukierek z papierka.

— Posłuchaj, Kiziuniu, opowiem ci, dokąd jadę. Ja też mam syneczka, troszeczkę starszego, niż ty. On mieszka daleko, daleko. Nie tam, gdzie ja. Jadę do niego, bo bardzo dawno go nie widziałam, rozumiesz?... nazywa się Jurek ten mój synek. Ma ładne loczki, tak, jak ty, może troszkę jaśniejsze. Podobno już się uczy, Kiziuniu... Pisał do mnie liścik drukowanymi literami, że czeka na Muśkę!

Pani Necia roześmiała się z uciechy.

— A czy on ma zabawki, ten Jurek? — pyta Kizia.

— Dużo, dużo zabawek! Konia na biegunach, strzelbę, szabelkę... Aeroplan ma, taki, co fruwa... Maleńkie dynamo, wiesz, taką maszynę, co robi elektryczność. A klocki także ma, dużo klocków. Buduje wieżę, wysoką, wysoką, potem trach!... zrzuca wieżę, a sam siedzi na dywanie, trzyma się za nóżki i śmieje się do rozpuku...

Zastanowiła się.

— A może nie, teraz tak się nie bawi; to było już dawno. Teraz czyta, maluje... To było już dwa lata temu...

Kizia czekała na dalszy ciąg. Trzymała zdaleka od siebie umazane czekoladą rączki i patrzyła w oczy pani Anieli.

— Dwa lata? — powiedziała wreszcie, żeby nawiązać rozmowę.

— Dwa lata... — powtórzyła machinalnie pani Aniela.

Kizia kręciła się na jej kolanach.

Chciała dalszego ciągu o synku Jurku, co dwa lata temu budował wieżę z klocków. A teraz co robi? Jakże można tak zaczynać i nie kończyć?!

Oczy pani Neci zatopiły się w odległej przeszłości. Poczula przy sobie kędzierzawą główkę synka, jego oddech na swojej twarzy, jego rączki na swych ramionach.

— Nie odjeżdżaj!... — krzyczał: — Będę bardzo płakał bez ciebie, będę tęsknił, będę grymasił!... Kaszki nigdy nie zjem! Na Zośkę napluję, będę ją kopał, zobaczysz! Nie odjeżdżaj, Muśka, nigdy, nigdy, ty nie-dobra! Muśka! Muśka!...

Mimo to — odjechała.

Ale obraz Jureczka nosiła w sobie, jak własne serce. Dniem, nocą, w biurze i w domu, samotnie, czy między ludźmi, zawsze była z nim razem. Całe te dwa lata przeżyła tylko nim. Początkowo tęsknota nie była tak ostra. Organizowanie samotnego życia, początki nowej pracy, wszystko to odrywało ją od rozdrapywania tej boleści. Ale w miarę, jak systematyzowało się jej życie, rosła i wypełniała ją bez reszty. A teraz zdawała się być za wielka, aby pani Aniela mogła ją

pomieścić... rozsadzała ją ogromem, przytłaczała ciężarem nie do zniesienia.

Nerwowo, łapczywie spojrzała na zegarek. Jeszcze cztery godziny... Boże!

Jurek pewno je obiad. Wystroją go w nowe ubranie — to, które przysłała mu na gwiazdkę. Ciekawe, czy było dobre. Zygmunt nie chciał przysłać miary Jureczka, choć go prosiła o to w dwóch listach. Bluzkę jedwabną sama uszyła, zaplisywała falbaneczki... Żalowała, że chłopcu nie wypada wyhaftować!

Kizia, znudzona milczeniem, odwróciła jej twarz ku sobie brudną łapką.

— I co, ten Jurek? — zapytała.

Pani Aniela drgnęła, obudzona. Roześmiała się do dziecka, poprawiła je sobie na kolanach. Mrugnęła, chcąc otrzeźwić ze swych dalekich podróży.

— Teraz opowiem ci, Kiziuniu, jak Jureczek się modlił o zdrowie Azora.

To naprawdę było rozrzewniające. Tego Azora Zygmunt przyprowadził z ulicy chorego, nawpół żywego. Leczyli go starannie, a Juruś malutki modlił się w paciorku o jego zdrowie. I łezki miał w oczach, prosząc Bożi, żeby Azor nie zdechl nigdy, nigdy...

Słowa opowiadania płynęły czasem, jak przez sen. Pani Necia widziała swojego Jurka i nie mogła przezwyciężyć porywu ku niemu. Chwilami skurcz bólu zacieśniał jej gardło. Zaczęła dygotać, żeby zaciskały się jej z zimna. Wreszcie zdjęła Kizię z kolan.

— Nie mogę! — szepnęła bezradnie, oddając ją matce.

Otuliła się płaszczem i wcisnęła w kąt kanapki. Łzy potoczyły się po jej twarzy. Cały hart, starannie utrzymywany przez taki szmat czasu, opuścił ją nagle. Tak blisko celu!...

Gdyby nie Zygmunt, gdyby nie Zygmunt, nie byłoby tego wszystkiego! Nie byłaby bezwolną, poszarpaną istotą, nieodporną na wzruszenia i radość. Gdyby jej był dał Jurka! Nie chciała nic. Grosza od niego nie wzięła, zostawiła mieszkanie i wszystko w mieszkaniu. Ale chciała Jurka. Wiedziała, że bez Jurka nie będzie mogła żyć. Nie dał jej Jurka...

Nie wiedziała sama, czy nienawidzi go, czy nie. Był jej obcy, bardziej obcy, niż zwykły przechodzień. Nie znosiła jego dziwactw, jego tyranji, jego miłości. Gdyby ją kochał, pozwoliłby jej zabrać synka, a on mówił, że boi się dla dziecka jej wpływu. Mówił, że spaczy chłopaka. Że chłopcu potrzebna jest męska ręka. Że jej nerwy udziela się Jureczkowi. Chociaż wiedział, że ona bez Jureczka nie będzie mogła żyć.

I gorzej — wygrał sprawę. Byli w urzędowej separacji, a Jurek pozostał przy ojcu, i ojciec zatrzymał go dla siebie z tępym, bezzwzględnym triumfem.

Dwa lata!... Dwa lata!...

Każdy, zaoszczędzony ze skromnej pensji, grosz szedł na ubranka, na zabawki dla najmilszego. Wędrowały do Zagłębia paki książek i słodczy. A każda książka była wycalowana od okładki do okładki, każda kartka, na którą miały upaść oczy Jureczka, nosiła pocałunek stęsknionych matczynych ust.

Nareszcie Zygmunt pozwolił jej odwiedzić Jurka. Co mu się stało? Zmiękł? Może zrozumiał? A może słyszał o niej od ludzi. Mówili mu pewno, że żyje, jak samotnica, że pracuje ponad siły i że ponad siły tęskni.

Która godzina?... Jeszcze tak długo!

Sasiadki zajęły się swojemi sprawami, dzieci wyglądały przez okno. Czas płynął straszliwie powoli, ale przecież płynął.

Czy Jurek tak czeka na nią, jak ona czeka na chwilę zobaczenia go? No, nie! To niemożliwe!... Przecież to dziecko siedmioletnie, chłopcy nie odznaczają się sentymentalizmem. Zresztą nawet źle byłoby, gdyby tak bardzo tęsknił; to byłoby naprawdę źle. Ale jeżeli tęskni, jeżeli tęskni do swej Muśki, to teraz będzie podwójne święto! Kiedy się dopadną...

Chichot i szloch wydarł się z gardła pani Anieli. Przycisnęła ręce do piersi i tuliła, ścisłała, gładziła obecnego w jej pragnieniu syneczka... Żeby mu tylko co nie zrobić, żeby nie za mocno!

Widziała oczęta jasne, zalane łzami radości, główkę o rozwichrzonych kędziarach, małe łapki, zarzucone na szyję — i tuliła ten obraz do serca.

— Mój Juruś! Mój syneczek!

Czy też aby ucieszy się z książeczek, z zabawek? On taki rozwinięty, tak dużo już czyta! Sam się nauczył, na gazecie. Będzie Muśce czytał wierszyki, potem ona jemu. Usiądą na tapczanie w jego pokoju... Ten tapczan już stary, kupiony jeszcze przez nią dla Jurka. Ale wymozoliła wieczorami cztery śliczne poduszki i wiezie je dla Jureczka. Tapczan się odświeży, będzie chłopak dumny, że ma swoje poduszki, jak dorosły.

Czy aby się nie chmurzy?

Pani Aniela wychyliła się przez okno i znów dokładnie obejrzała horyzont. Nigdzie ani śladu chmur i chyba nie zdążą napłynąć, bo już tylko godzina jazdy. Jureczek pewno ubiera się już, aby powoli pójść na dworzec. Pewno patrzy na zegarek i nie może doczekać się godziny. Radość chwyciła ją za gardło. Już tak blisko, tak niedługo! Musiała sobie powtarzać raz po raz tę radosną pewność i to ją napełniało szczęściem i jakby pobożnym strachem. Jakże ona zniesie jego widok? Jak powita go dostatecznie? Czy będzie miała siłę nie płakać, nie krzyżeć?

Musi koniecznie ucałować jego bródkę, taką malusińką, tłusciutką, a głównie ten dołeczek koło ust, po lewej stronie. Kiedy Juruś był malutki, zawsze ta bródka i ten dołeczek pobudzały ją do śmiechu. Rozpamiętywała z rozkoszą żywą różowość jego policzków i to białe miejsce między oczami, gdzie czoło przechodziło w nos. Juruś ma pieprzyk nad lewą piętą i czerwony punkcik na plecach. Czy też aby się nie powiększył! Może to coś niebezpiecznego? Jeśli jest choć odrobinę większy, trzeba będzie się poradzić doktora. Zośka podobno jeszcze służy u Zygmunta. Pewno przyprowadzi Jurka na spotkanie. Żeby tylko włożyła granatowy paltocik zeszloroczny, a może już wyrósł? Od dwóch lat ani fotografii, ani nawet opisu! Okropność!

Konduktor zajrzał do przedziału.

— To już następna stacja! — powiedział: — Czy zawołać pani numerowego?

Jaki pocziwy! Obcy człowiek, a wyczuł, że ona nie jest w stanie myśleć o pakunkach, kiedy ma zobaczyć Jurka.

— Proszę bardzo! — odpowiedziała wdzięcznie.

Ach, prawda! Już pora się ubierać. Kapelusz... Może krzywo? Jurek będzie się śmiał ze swej Muśki. Dalej — łusterko. Troszeczkę pudru. Czy aby ładnie? Tak, chyba... Dla Jureczka.

— Gdybyś miała troszeczkę ładniejszy nos, byłabyś chyba najpiękniejszą panią na świecie! — powiedział jej kiedyś podczas bardzo poważnej rozmowy. Ileż on miał wtedy lat? Trzy? Cztery? Kochany!

Kazimiera Mazurkova.



WYSPA MAJORKA I WSPOMNIENIA PEWNEJ ZIMY

Sierpniowy wieczór na Morzu Śródziemnem. Statek „Jorge Juan“, porzuciwszy w Walencji pomarańczową kulę zachodzącego słońca, ucieka od niej coraz dalej na wschód w mrok liljowo-szary. Zanim zmierzchno niebo i woda, zjawily się blade gwiazdy, świecąc coraz mocniej — aż nie starczyło na ciemnym niebie miejsca na ich rojące się mirjady. Jęły więc w morzu przeskakiwać z fali na falę, póki mroczna woda nie rozblęysła srebrem od nich i od księżyca, który tymczasem spokojnie wypłynął nam na spotkanie. Nieporównana błogość w powietrzu, cudownie ciepłem, pachnącem świeżością i solą, aksamitna cisza w fosforyzującej wodzie — i ten biały statek, któremu drogę znaczą księżycowa smuga — ta noc, tak piękna, że aż nierealna, całkowicie odrywa od rzeczywistości. Daleko została codzienna powszedniość, rozsądny materializm dnia dzisiejszego — a myśl, przestając rozróżniać między „dzisiaj“ a „wczoraj“, zaludnia ten cichy wieczór marami, jakże dla nas, dzisiejszych ludzi, fantastycznymi, jakże „romantycznymi“. Owiewa nas atmosfera „nieszczęścia“ i „ideału“, atmosfera tej dziwnej epoki, kiedy to cała Europa oddychała poezją i szaleństwem, kiedy proste, ludzkie szczęście było niegodne poety, a tęsknota była dla wszystkich chlebem powszednim.



Kapela ludowa na Majorce.



Krajobraz z Majorki.

W noc, tak samo ciepłą i jasną, choć już jesienią, płynął w r. 1838 stateczek „El Mallorquino“ z Barcelony do Palmy, unosząc parę żalosnych kochanków: Chopina i George Sand. Jechali po zdrowie, po spokój i samotność, niezbędną dla pracy twórczej, wiele sobie po tej podróży obiecując. Z wiosną roku 1838 rozkwitła ich nierówna, smutna miłość. Śpieszyli teraz skryć się z nią przed ludźmi na całą zimę. Po nocy, spędzonej na rozmowie z gwiazdami, dopłynęli o świcie do Palmy. Komu danem było raz w życiu ujrzeć jej wizję słoneczną, nie zapomni tej chwili już nigdy. „Złotą Wyspą“ nazywają hiszpanie Majorkę, „Perłą Morza Śródziemnego“, „Wyspą Ciszy“ — to wszystko prawda i żadnej w tem niema przesady. Ja bym ją nazwała „Wyspą Szczęśliwości“, bo taką ją ujrzałam owego złotego poranku.

W przejasnym błękicie, tam, gdzie niebo z morzem się łączy, majaczy jakaś złota smuga. Powoli zarysy wyspy stają się coraz wyraźniejsze: oko rozróżnia już stromy brzeg skalny, różany teraz i złoty, niebieską zatokę, gdzie drzemią jeszcze ciche łodzie rybackie, a powyżej białe domy Palmy. Błękit nieba nad nami trwa nieruchomo, błękit morza pod nami faluje ruchem tak łagodnym i miłym, jakby pieścił



Wnętrze Lonji ze sklepieniem palmowem.

okręt, wyspę i daleki horyzont. Od strony wyspy biała mewa wylatuje nam na spotkanie i długo krąży nisko nad wodą, trzepocąc skrzydłami. Tuż za nią druga — nie, to biały żagiel obudzonej przez nas łodzi rybackiej. Wjeżdżamy do portu. Poranna wizja nabiera kształtów, z mgławicy wylania się raj...

Na skalistym brzegu naprzeciw wjazdu wznosi się na wysokim podmurowaniu średniowieczna katedra. Nic nie dorówna smukłości jej arkad gotyckich, ozłoconych teraz porannym słońcem. Nie pamiętam, aby która z gotyckich świątyń sprawiała wrażenie takiego majestatu, a zarazem takiej strzelistości, dzięki nie wieżom, lecz architekturze samego masywu absydy i nawy głównej. Tuż obok wyrasta z pośród palm wdzięczna „La Lonja”, uwieńczona czterema gotyckimi wieżami, o wnętrzu, przedziwnie naśladującym las palmowy — jeden z najpiękniejszych zabytków świeckiego gotyku śródziemnomorskiego. Wraz z nią przysiadła u stóp katedry arabsko-gotycka Almudaina, dawna rezydencja królów Majorki, a jeszcze niżej Consulado de Mar, którego renesansowa loggia przegłąda się w fałdach zatoki. Całe miasto uwieńczone koroną palm i aleosów, porastających okoliczne wzgórza. Na jednym z nich, pośród szaro-złotego lasu oliwnego króluje potężne zamczysko — to Castillo Bellver, z okrągłym dziedzińcem, niby areną, i wieżą, skąd roztacza się najcudniejsza w świecie panorama.

Tak, powietrze tej wyspy jest szczęściem, niebo skarbem, ziemia ogrodem. Lecz wejdźmy w cień jej murów. Labirynt wąskich uliczek starego miasta, skupionego dokola katedry, nastęca nam co krok czarowne niespodzianki, otwierając się to na jakiś przebogaty portal, to na łuk arabski, to wreszcie na któryś z owych pałaców patrycjuszowskich z XVI, XVII i XVIII wieku, pełnych smaku i pańskiej wytworności. Ich we-

wnętrzne dziedzińce, tak zwane „patio”, o zupełnie swoistym charakterze, odznaczają się nieporównaną harmonją, prostotą i czystością linii swych śmiałych, szerokich łuków i smukłych kolumn.

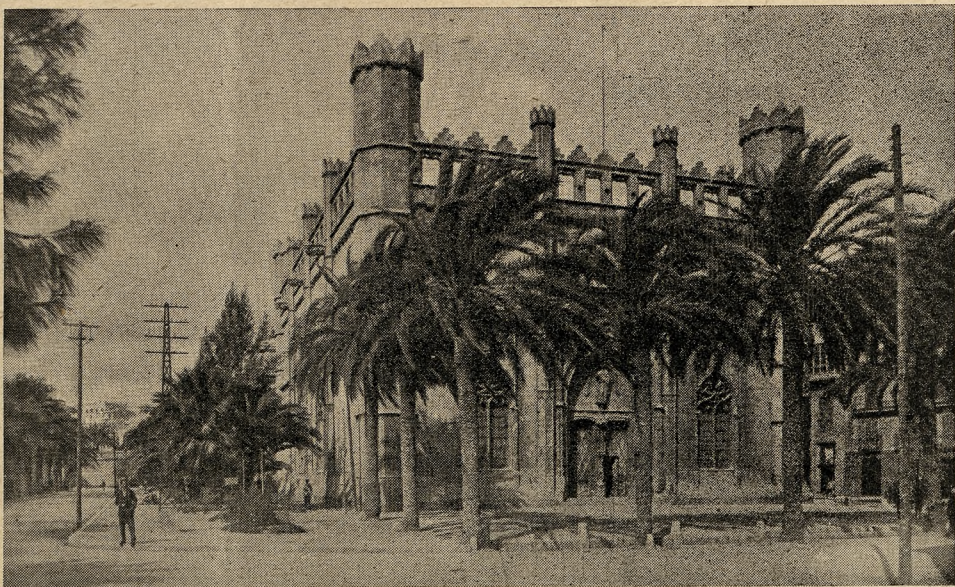
Cóż mówić o dziedzińcach klasztornych, pełnych zieleni i gwarów ptaszczych? Jakże wysłowić senny czar Claustro di San Francisco, gdzie w czworoboku gotyckich krużganków, wśród palm, bananów i pomarańcz bije źródło kryształowej wody? Poza murami klasztoru ulice, omdlałe od słońca — tutaj chłód i rzeźwość. U studni młode dziewczęta o typie arabskim czerpią wodę w duże gliniane dzbanki i odchodzą w hieratycznej pozie, ramieniem podpierając naczynie. Z pod portyku, gdzie skryła się przed żarem gromadka gołębi, paru zakonników przygląda się młodemu życiu, zwolna przesuając w palcach paciorki różańca.

Cóż dziwnego, że sto lat temu bemała błogosławiony ów zakątek wydał się strudzonym wędrowcom rajem ziemskim. Ale w tym raju panowały też wówczas iście rajskie stosunki: w mieście nie było hotelu. Trudno to sobie wyobrazić

dzisiaj, gdy w nowych dzielnicach i na wybrzeżu poza miastem wznoszą się dziesiątki luksusowych hoteli, zaopatrzonych we wszelkie zdobycze higieny i nowoczesnego komfortu, przytem stosunkowo tanich i dostępnych.

W r. 1838 z trudem udało się konsulowi francuskiemu nakłonić niejakiego senora Gomez do wynajęcia turystom bardzo prymitywnego pomieszczenia, zwanego pięknie „Domem wiatrów”. Zapewne poetyczna nazwa i pełne słodczy jesienne słońce wynagradzały brak najprymitywniejszych wygod. Chopin zachwycał się „niebiańskim powietrzem, turkusowem niebem, szmaragdowemi górami i morzem z lapis lazuli“...*)

Ale zbliżała się zima, w tym klimacie pora deszczów upartych. Czyhajęca dawno choroba piersiowa obozwładnia teraz artystę; lekarze uznają go za straconego; wesola, zdrowa ludność tubylcza, fanatycznie przywiązana do życia i obawiająca się panicznie „zarazy”, omija wędrowców, jakby wyklętych,



Palma. Fasada Lonji.

zdaleka tylko podglądając dziwaczne życie tych dwojga „szatanów“, których nigdy nie spotyka w kościele. Wymarzony pobyt w klasztornej samotni Valdemosa staje się przymusowym wygnaniem. George Sand z dziećmi i ciężko chorym Chopinem przenosi się tam 15-go grudnia. I poczyną się ich „zły sen“...

Valdemosa — napół zrujnowana pustelnia Kartuzów pośród afrykańskiej przyrody, położona w odległości 17 klm. od Palmy, w sercu najwyższego pasma gór majorkańskich, opadających stromo ku morzu. Potężne mury 15-sto wieczne, gotyckie okna, po których pną się bluszcz i klematis. Ponure, sklepienie cele, w których zamieszkał wędrowiec, wychodzą na taras, pełen pomarańcz i róż. Dzisiaj kwitną tak samo, jak przed stu laty — tylko cele puste, napisem jedynie wspominają pobyt przelotnych ptaków z Północy.

Siadam na progu i patrzę w milczący ogród. Więc to tutaj... W powietrzu, zda się, brzmia jeszcze tony, pełne rozpaczliwej słodyczy. Artysta, którego praca jedynie wyzwalała od męki, tworzył w tych murach swoje „Preludja“, „Scherzo Cis-mol“, „Nokturny“...

W otoczeniu, gdzie wszystko dokoła dyszało poezją, gdzie „orły codziennie przelatywały nad głowami — i nikt ich nie płoszył“...*), półprzytomny, w ekstazie, śledził korowody duchów, którymi zaludniał mroczne cele i korytarze pustelni.

„Opętanemu“ Polską i beznadziejnością jej doli ówczesnej bliższy był samotny krzyk orla i poszarpane skały wybrzeża, niż wdzięk polnej róży, oplatającej kamienną studnię w dziedzińcu, niż woń pomarańcz, dolatująca z tarasu, niż „dźwięki gitary i maurytańskie pieśni rolników“...*).

Nie słuchał ich — zamykał się w celi, a fantazja przenosiła go tam, gdzie „na błoniach błyszczą kwiecie“, gdzie „Świtezianki“ wstają z księżycowych jezior. Albo widział oczyma du-



Studnia klasztorna w Valdemosie.

szy korowód świetnych postaci w deljach i przy karabeli, kroczących w „polonezie triumfalnym“.

Jak inny czarodziej, co na piramidach wspominał ojczysty Krzemieniec i z grobu Agamemnona oglądał pola Maciejowic, włókł Chopin wszędzie po świecie swoją tragiczną polską dolę. Mimo to tak silne było nieraz bezpośrednie przeżycie, że pod jego wpływem tworzy swe impresje muzyczne, nieprzetransponowane już na nutę tęsknoty za krajem.

Oto jest sam, targany niepokojem o ukochaną, którą burza zaskoczyła w górach. Noc zapada, słychać tylko szum wichru i monotony szmer kropel uporczywego deszczu. I oto powstaje „Preludjum deszczowe“, w którym olowane krople bólu z potworną monotonią padają na rozgorączkowany mózg człowieka.

Słońce zachodzi — cyprysy, które zwartym czworobokiem otaczają mały cmentarzyk mnichów, mieszczący się wewnątrz pustelni, rzucają długie cienie; ptaki milkną, powoje i pomarańcze pachną już nazbyt upojnie. Czas wracać do ludzi...

Schodzę powoli przez mroczniejący las konwulsyjnie powykrzywianych oliwek.

Dziwaczne ich pnie oplatają się dokoła siebie, jakby zastygłe w tańcu św. Wita, bezsilnie czolgają się po ziemi, by nagłym, naturze przeciwnym skretem wgryźć się w swe własne konary. Zgrozę budzi ten las! — czas wracać.

A kiedy sen się już prześnił — i z pokładu statku, płynącego na północ, patrzyłam, jak rozwiewają się we mgle wieczornej kontury wyspy — myśl jeszcze raz pobiegła do tamtych pielgrzymów. Nie mieszkało tu z nimi szczęście. Odpływali, zlorzecząc temu krajowi — a przecież wyznaje George Sand: „Kiedy widok błota i mgieł Paryża pogrąża mnie w spleen, zamykam oczy i widzę znowu, jak we śnie, te wzgórza zielone, te szare skały i tę palmę samotną, zagubioną w różanem niebie“...

Wanda Germain.



Gaj oliwny w Valdemosie.

**) „Listy“ Chopina.

POWSTANIE PIERWSZEJ SPECJALNEJ ORGANIZACJI OCHRONY PTAKÓW W POLSCE

Olbrzymie spustoszenia w rolnictwie i leśnictwie, czynione przez szkodniki owadzie, przybierają nieraz rozmiary prawdziwej klęski, która wyraża się w stratach, sięgających setek tysięcy milionów złotych rocznie (jak np. inwazja Sówki-chojnowki w r. 1924-ym w zachodniej i północnej częściach Polski) i zmuszają człowieka do szukania coraz to nowych środków zaradczych.

Środki chemiczne często są zbyt drogie i nieraz b. szkodliwe dla większości małych pożytecznych zwierząt, które giną masowo.

Z końcem XIX-go stulecia wysuwa się na plan pierwszy, jako środek w walce ze szkodnikami, ochrona ptactwa owadożernego. Racjonalną podstawę tego ruchu zawdzięcza ludzkość słynnemu niemieckiemu uczonemu baronowi H. Berlepschowi.

W niektórych krajach ochrona ptaków nosi charakter oficjalny i jest wykonywana przez specjalnych urzędników państwowych, t. zw. „Vogel schutzkomissar“ (np. Bawaria, Węgry, Czechosłowacja, Holandia i t. d.). W większości państw stworzono Stacje ochrony ptaków, rezerваты, instytucje badawcze i t. p. przy szerokim udziale rządu.

W r. 1922 został utworzony w Ameryce „Międzynarodowy Komitet Ochrony Ptaków“, do którego w roku bieżącym przystąpiła również oficjalnie Polska.

Równolegle powstały w większości krajów kulturalnych organizacje społeczne, mające na celu ochronę ptaków. Liczą one tysiące, a nawet i miliony (Ameryka: Tow. im. Audubon'a i t. d.) członków, lub też są mniejsze, lecz obficie rozsiane po całym państwie, jak to ma miejsce w Niemczech, Francji lub Anglii.

W Polsce, mimo budzących się objawów przywiązania do skrzydlatej rzeszy i pojedynczych usiłowań opieki nad ptakami, akcja społeczna w tym kierunku wszczynana była raczej dorywczo. Dopiero ruch ochrony przyrody, którego najwybitniejszym orędownikiem i niestrudzonym organizatorem jest prof. dr. Wład. Szafer w Krakowie, spowodował powstanie pierwszej specjalnej organizacji ochrony ptaków w Polsce.

W dn. 27.X r. ub. odbyło się w Warszawie, w lokalu Stacji



Amerykanin przysmoił młodego orla.

Ochrony Roślin Warszawskiego Tow. Ogrodniczego (przy ul. Bagatela 3), organizacyjne zebranie „Sekcji Ochrony Ptaków“ Oddziału Warszawskiego Ligi Ochrony Przyrody, pod przewodnictwem p. prof. L. Danielewicza, Dyrektora Plantacyj Miejskich, z udziałem Panów: dr. J. W. Ruszkowskiego (Stacja Ochrony Roślin T. O. W.), prof. J. Kaczkowskiego (Muzeum Pedagogiczne), L. Rewieńskiego (Muz. Ped.), inż. Stef. Wyrzykowskiego (redaktora „Młodego Rolnika“) oraz M. hr. Czerep-Spirydowicza (Liga Ochrony Przyrody). Inicjator i założyciel Sekcji, M. hr. Czerep-Spirydowicz zapoznał obecnych z przygotowawczą działalnością Zarządu, która wyraziła się w następujących czynnościach:

1) Uzyskano od Pana Prezydenta Miasta, oraz od Dyrekcji Plantacyj Miejskich przyrzeczenie poparcia Sekcji w jej akcji ochrony ptaków na terenie miasta i jego okolic, przyczem Pan Prezydent Miasta przyrzekł wszelką techniczną pomoc w wyrobieniu i zainstalowaniu skrzynek i karmików dla ptaków w ogrodach i parkach miejskich oraz częściową pomoc w dokarmianiu ptactwa w zimie.

2) Przygotowano tereny pod przyszłe rezerваты i stacje ochrony ptaków.

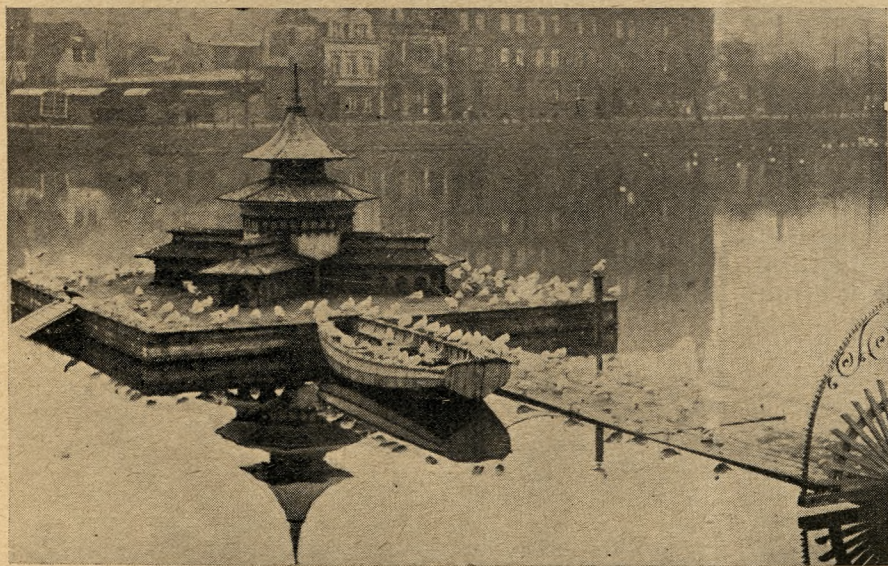
3) Nawiązano kontakt z 24-ma organizacjami pokrewnymi we wszystkich częściach świata. Nadesłały one już bardzo życzliwe odpowiedzi, oraz swe wydawnictwa, z prośbą o utrzymywanie nadal ściślejszego kontaktu.

Zkolei przewodniczący Sekcji Dr. J. W. Ruszkowski przedstawił obecnym do zatwierdzenia projekt programu działalności Sekcji na najbliższy okres czasu, przyczem uchwalono:

1) Wyjednać u Władz wydanie specjalnej ustawy ochrony ptaków nielownych na wzór istniejących już podobnych ustaw we wszystkich prawie państwach.

2) Założyć szereg rezerwatów dla ptaków na terenie miasta (park Paderewskiego, Łazienki, lasek Bielański i t. d.) oraz wzorową stację ochrony ptaków w Ogrodzie Botanicznym Uniwersytetu Warszawskiego.

3) Rozpocząć jaknajenergiczniejszą propagandę celem szerzenia idei ochrony ptaków



Schron dla mew na zatoce Kilońskiej.

wśród jaknajszerszych warstw ludności, a szczególnie wśród młodzieży szkolnej, wciągając ją do akcji praktycznej (czynnej), drogą nawiązania porozumienia z Polskim Tow. Pedagogicznym.

4) Nawiązać kontakt z pokrewnymi organizacjami w kraju i utrzymywać jaknajściślejsze stosunki z podobnymi instytucjami zagranicą, oraz współpracować z pierwszą w Polsce Stacją ochrony ptaków Towarzystwa Ogrodniczego Warszawskiego w Morach.

Jako siedzibę Sekcji, obrano lokal przy ul. Bagatela 3, łaskawie ofiarowany przez Towarzystwo Ogrodnicze Warszawskie.

Sekcja uprasza wszystkich, komu idea ochrony ptaków naszych leży na sercu, o zgłaszanie swej bezinteresownej współpracy, oraz o informowanie jej o wszelkich przejawach inicjatywy prywatnej w tym kierunku, jak również uprasza i o podjęcie jaknajenergiczniejszej akcji celem ratowania ptactwa od głodowej śmierci podczas zimy, na wiosnę zaś umożliwienia ptakom spokojnego i bezpiecznego gnieźdzenia się, zawieszając dla nich sztuczne gniazda i tworząc rezerwaty i schroniska.

We wszystkich tych sprawach Sekcja udziela jaknajchętniej wszelkich informacji, po które należy się zwracać bezpośrednio pod adresem: „Sekcja Ochrony Ptaków” — Warszawa, ul. Bagatela 3.



Władysław Tatarkiewicz, profesor uniwersytetu warszawskiego: „Historja Filozofji”. Tom I — Filozofja starożytna i średnio-wieczna; tom II — Filozofja nowożytna. — Lwów. Wydawnictwo Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich. 1931 r.

Dzieło to wypełnia dotkliwą lukę w naszej literaturze naukowej. Nie mieliśmy bowiem dotychczas historii filozofji, która, obejmując całokształt dziejów filozofji europejskiej, traktowałaby go jednocześnie w sposób, równie zajmujący dla specjalistów, jak pożyteczny dla studentów, a dostępny i ciekawy dla laików. Pierwsze wrażenie, jakiego się doświadcza po otwarciu książki, jeszcze przed jej przestudjowaniem, to wrażenie niesłychanej przejrzystości w układzie.

„Historja filozofji” Tatarkiewicza nie jest właściwie historją zagadnień, lecz filozofów; skutek tego obszerna praca rozpada się właściwie na szereg krótkich monografij, z których każda składa się z rozdziałów, zatytułowanych: „życie”, „pisma”, „poprzednicy”, „rozwój”, „poglądy”, „następcy” i „opozycja”.

Tą drogą autor osiąga dwa rezultaty: raz ciągłość wykładu, który przez działy: „poprzednicy”, „następcy”, „opozycja” wiąże poszczególne ogniwa myśli filozoficznej w jedną całość; powtórę — niesłychane ułatwienie w orjentowaniu się dla czytelnika, który w każdej chwili, pociemku niemal, może znaleźć żadaną informację.

Autor w dobrze przemyślanem i logicznie skonstruowanem posłowniu uzasadnia konieczność takiego właśnie, a nie innego układu swego dzieła, polemizując niejako z ewentualną krytyką i odpierając zarzuty, które jemu samemu się nasuwały. Pomiął, z właściwą mądrością skromnością, motyw najważniejszy, a decydujący: intuicję artysty, która kierowała ręką uczonego.

Niedarmo ten badacz filozofji jest jednocześnie historykiem i miłośnikiem sztuki. Nie można bezkarnie zgłębiać tajni-

ków klasykującej epoki stanisławowskiej, bez zarażenia się tem poczuciem ładu, harmonji, stylu, jakie promieniuje przede wszystkim z zabytków architektonicznych tej epoki. Ten klasyczny ład, spokój, podporządkowanie poszczególnych części całości, opanowanie i rozklasyfikowanie myśli przez konstrukcję nadaje dziełu Tatarkiewicza rys monumentalności. Jest to świątynia, której sama fasada budzi w czytelniku ufność i powagę, zanim się dowie, jakiemu bóstwu służy kult, sprawowany w jej wnętrzu. Ocena fachowa tego kultu należy do arcykapłanów wiedzy. Krytyka literacka może podnieść tylko kryształową przejrzystość konstrukcji, czystość języka, szlachetną prostotę i swobodę stylu, jasność wykładu.

„Historja filozofji” powinna znaleźć się w każdym domu, gdzie choć jeden człowiek interesuje się dziejami myśli ludzkiej, a takich ludzi napewno nie brakuje i wśród kobiet. S. P. O.

Tadeusz Zieliński: „Świat antyczny” — Część pierwsza: „Starożytność bajeczna”. Dwanaście tablic z ilustracjami według malowideł antycznych. Warszawa. 1930. Wydawnictwo J. Morkowicza.

Znakomity badacz i znawca świata antycznego dawno już powziął myśl bliższego zaznajomienia z tym światem ogółu, a zwłaszcza kształcącej się młodzieży. Temu celowi służy wydana obecnie „Starożytność bajeczna”, stanowiąca pierwszą część dzieła „Świat antyczny”, którego dalsze, a dopiero zamierzone części mają nosić nazwy: 2) „Grecja niepodległa”, 3) Rzym republikański i 4) „Rzym cesarski”.

Pierwsza część — to mitologja grecka, barwnie i żywo opowiedziana w szeregu rozdziałów: „Kadmos i Kadmidzi”, „Perseusz”, „Argonauci”, „Herakles”, „Labdakidzi”, „Ateny”, „Wojna trojańska”, „Koniec królestwa baśni”.

Mitologja ta jest mitologją tragiczną, bowiem źródłem jej są dramaty trzech wielkich tragików greckich, dramaty przeważnie zaginione, nad których rekonstrukcją prof. Tadeusz Zieliński pracuje od szeregu lat.

Książka jest napisana łatwo i zajmująco i może być nie tylko podręcznikiem studjów mitologicznych, ale miłą lekturą dla starszych i dla młodzieży. Stanie się niewątpliwie źródłem odrodzenia zainteresowań antycznych, które były jedną z podstaw naszej kultury narodowej, a które w poezji swojej usiłował wskrzesić Wyspiański. Ci, dla których mitologiczne postacie Nocy listopadowej, Achilleis i innych dramatów Wyspiańskiego są niezrozumiałe, znajdą wyczerpujące objaśnienia w dziele prof. Zielińskiego. S. P. O.

KSIAŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

KSIEGARNIA ŚW. WOJCIECHA.

„Wtajemniczenie w Filozofję Świętego Tomasza z Akwinu” — praca zbiorowa pod redakcją C. Peillande.

X. biskup Kubina: „Akcja katolicka a akcja społeczna”.

X. H. Spalding T. J.: „Etyka w zawodzie pielęgniarstwa”.

Kazimiera Alberti: „Pochwała życia i śmierci” — poezje.

Stefan Balicki: „Dziewiąta fala” — opowieść morską.

DOM KSIAŻKI POLSKIEJ.

Wł. Brzujan: „W krzywym zwierciadle”.

Wacław Gąsiorowski (Wiesław Sclavus): „1910 — 1915 — Historia Armji Polskiej we Francji”.

BIBLIOTEKA GROSZOWA

Max Wit: „Wzloty” — powieść.

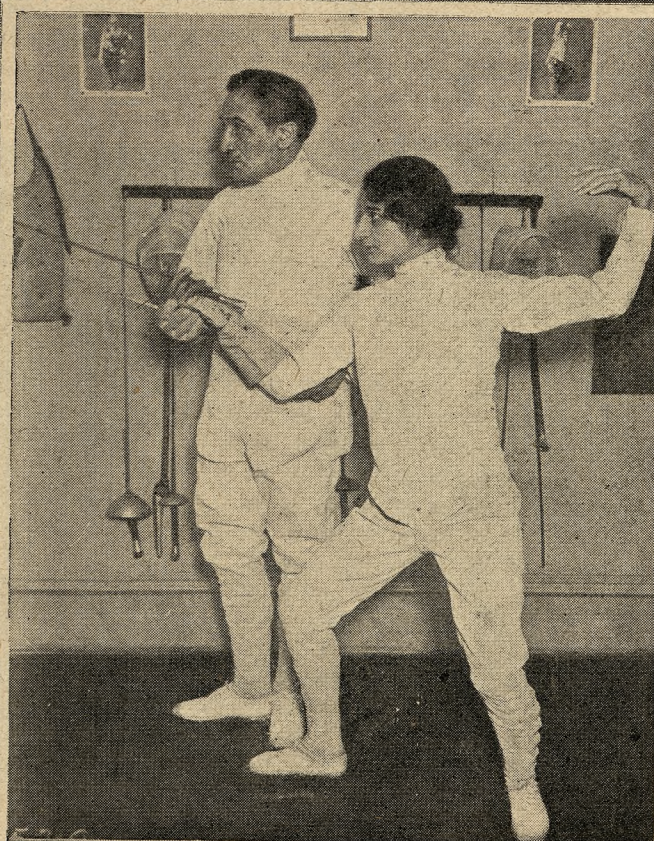
J. Hergesheimer: „Odwieczna tęsknota” (Cytherea) — przekład Z. Popławskiej.

SĄ WSZĘDZIE: W SPORCIE, PODRÓŻACH I PRZEMYŚLE

Po całym świecie rozszerza się coraz intensywniej sport łuczniczy, łączący ćwiczenie mięśni, wzroku, estetyczną postawę i emocjonującą grę sportową. W Ameryce pasja zawodów łuczniczych ogarnęła zarówno mężczyzn, jak kobiety. Pierwszy ogólnie amerykański konkurs łuczniczy odbył się przed kilku dniami w Chicago, na jednym z wielkich placów. Na tle najbardziej nowoczesnym, wielkich drapaczy nieba, popisywano się użyciem przedwiecznej broni.

Kobiety zdobywają sobie zresztą coraz poczesniejsze miejsce we wszystkich sportach. Świeżo p. Joanna Vical, kobieca mistrzyni świata w szpadzie, otrzymała niezwykle rzadki dla kobiety tytuł profesora paryskiej akademii broni. P. Vical trenuje pod okiem swego ojca. — Harcerki amerykańskie miały niezwykle gościa: honorowa ich przewodnicząca, p. prezydentowa Hoover, przybyła na uroczysty, doroczny bankiet związku.

Miła, o skupionej, myślącej twarzy pani, siedząca wygodnie na tapczanie, oddaje się lekturze najnowszej powieści, lub poezji? Wcale nie: to nieustraszona podróżniczka francuska, p. Titayana, porządkuje notatki, zebrane w dzikim kraju Yucatan, który przeżyła wśród niesłychanych niebezpieczeństw. — Największą maszynę do pisania demonstrowano na wystawie handlowej w Nowym Yorku; rozmiarami przypomina to — omal nie fortepian. Instrumentu tego używać będzie przeważnie, naturalnie, kobieta.



Kobieta w świecie i w domu

CZAS JUŻ NAJWIĘKSZY.

Od dłuższego czasu prowadzą kobiety energiczną agitację w sprawie mianowania kobiet-sędziów. Agitację uwieńczoną powodzeniem: jest już jedna kobieta sędzią dla nieletnich. Nie wiele to. Sądy ogólne są w dalszym ciągu dla kobiet zamknięte. Pozatem istnieje w zakresie sądownictwa jedna jeszcze ważna placówka, na której, niewiadomo dlaczego, niema kobiet i którą, co jeszcze dziwniejsze, kobiety się nie interesują: Sądy pracy.

Jakże wielka jest liczba kobiet pracujących w Polsce, zarówno pracownic, jak pracodawczyń, jakże często zdarzać się mogą w pracy różne konflikty na tle właśnie specjalnej psychiki kobiecej, zwłaszcza u nas, gdzie istnieje dużo jeszcze kobiet-nowicjuszek w pracy! Do rozstrzygania tych spraw potrzebna jest głęboka wnikliwość i znajomość psychiki kobiecej.

Sądy pracy zakreslają coraz szersze kręgi działalności, coraz więcej mają spraw, tak, że obecnie tworzy się już trzeci sąd pracy w Warszawie. Należy koniecznie dopilnować, aby weszły tam kobiety.

ZJAZD FEDERACJI KOBIECEJ W KRAKOWIE.

W Krakowie odbył się w ubiegłym tygodniu zjazd delegatek Polsk. Stow. Kobiet z wyższym wykształceniem; przybyło około 50 delegatek, przewodniczącą zjazdu obrano dr. Teodorę Męczkowską z Warszawy. Tematem obrad były zagadnienia międzynarodowych organizacyj kobiecych.

PANI RADCA PRAWNY.

Poraz pierwszy w Austrii mianowano kobietę radcą prawnym ministerstwa. Stanowisko to uzyskała p. Felicja Köhler, dotychczasowa urzędniczka ministerstwa poczt i telegrafów; obecnie została radczynią prawną tego resortu.



Pani Felicja Köhler.

ZAPISUJMY SIĘ DO KOŁA PAŃ.

Zawiazane w czerwcu ub. roku w celu propagandy obrony przeciwgazowej Koło Pań, pod protektorem pani prezydentowej Mościckiej, rozwija energiczną akcję. Trzeba zebrać fundusze na dokończenie szkoły obrony przeciwgazowej, trzeba uświadomić społeczeństwo o ważności i celowości tej obrony. Przedewszystkiem chodzi o zgromadzenie jaknajwiększej ilości członkiń Koła. Należąc do zrzeszenia, każda z pań musi zainteresować się i zapoznać z tą tak ważną sprawą i wtedy pojmie bez trudu, że każda kobieta musi zapoznać się z systemem obrony swego domu i rodziny. Drobne zaś składki (5 złotych rocznie), jeżeli naprawdę napłyną masowo, przyczynią się do szybkiego ukończenia gmachu szkoły, która będzie nie tylko obroną, ale i placówką nowoczesnego przemysłu.

Redakcja „Bluszczu“, która zawsze gorąco popiera działalność Ligi Obrony Lotniczej i przeciwgazowej, pragnie zachęcić raz jeszcze jaknajusilniej swe czytelniczki, aby zapisywały się na członkinie Koła Pań. Zapisy przyjmuje Koło, w lokalu Komitetu Stołecznego L. O. P. P.: Chmielna 27.

NIE KRZYWDŹMY KOBIEC!

Kiedy pisma codzienne nasze i zagraniczne notują skwapliwie każdy wynalazek, wyczyn sportowy, nawet każdą nową hipotezę, o ile tylko autorem jej jest mężczyzna, o tyle te same organy prasowe wstrzymieźliwie odnoszą się do tej samej kategorii czynów, jeśli spełni je kobieta. O rekordzie długości przebywania w powietrzu Costes i Bellonté'a nie kończyły się entuzjastyczne i sążniste artykuły. O ileż ciszej brzmiały megafony prasy o p. Maryse Bastié, która świeżo pobiła ten rekord!

Dopiero organ kobiecy, tygodnik „La Française“, dał niezmiernie ciekawy artykuł, charakteryzujący dzielną lotniczkę, oraz ilustrujący cały przebieg, jakże chwilami dramatyczny, jej świetnego rekordu.

Panna Bastié jest wyznawczynią teorii o wpływie sił psychicznych na dzieło ludzkie; na tę drogę wprowadziła ją niegdyś przeczytana książka: „Myśl, która uzdrowia“; metodę tę postanowiła zastosować, podejmując próbę wielkiego rekordu. P. Bastié ujęła tę zasadę nowej psychologii z całą powagą. Zrozumiała doskonale, że proste powiedzenie sobie „chcę“, bez stałego, wewnętrznego treningu w tym kierunku, byłoby dziecinadą, że wola musi być odpowiednio ćwiczona i wzmacniana.

Zabrała się więc do tego z całą energią. Obok specjalnych ćwiczeń sportowych i fizycznych, zastosowała systematyczne, długie próby hartowania woli, przewyżczania reakcyj nerwowych, koncentracji myślowej, opanowania wyobraźni, tak, aby wszystko to stało się psychicznym nawykiem wewnętrznym. Każda godzina pracy i odpoczynku była przez p. Bastié skrupulatnie rozplanowana i plan wypełniony z całą ścisłością. Taka gimnastyka psychiczna daje rezultaty bardzo podobne do gimnastyki mięśni: ćwiczenie, które wydaje się i jest istotnie niemożliwe dla niewprawnych, staje się łatwe po szeregu dni wprawy.

Przygotowawszy się w ten sposób, p. Bastié rozpoczęła lot. Zadanie jej było niezmiernie trudne jeszcze i z tego względu, że leciała sama. Ani jednej chwili snu, nawet spoczynku! Aby przedłużyć możliwość lotu, musiała p. Bastié trzymać najmniejszą szybkość; przy locie takim niezmiernie łatwo jest o wypadek, a lotnik mieć musi mięśnie i nerwy w nieustannym napięciu. Łatwa sytuacja, gdy człowiek nie zmrzył oka przez dwie doby!

Najgorsza była dla p. Bastié ciągła prawie halucynacja, że na prawo wyrasta wielka, biała ściana. Złudzenie to było tak silne, że lotniczka nie mogła się powstrzymać od wirazu w stronę przeciwną. Chwilami p. Bastié, ostatkiem sił trzymając ster, marzyła o jakimkolwiek wypadku, byle się skończyła ta męka! Ładować jednak dobrowolnie nie chciała.

Wytrwałość zwyciężyła; nie siła fizyczna, gdyż lotniczka jest wątłą kobietą, o wadze niepełnej 50 kilogr., lecz niezwykła i świetnie wytrenowana siła psychiczna. P. Bastié pobiła rekord swój własny, Leny Bernstein, oraz Costes i Bellonté'a.

Jest jedna dziedzina w której kobietom nikt nie kwestjonował miejsca i prawa pracy, od lat przynajmniej dobrej setki. Zakres pracy literackiej.

Poetki, nowelistki, powieściopisarki były od początku prawie, gdy pisać raczyły, równouprawnione. Satyra maczała nieraz pióro w żółci à propos kobiecych utworów, ale, popierwsze, robiła to samo z męskimi, podrugie miała niejednokrotnie rację. Zato nie było chyba zdarzenia, aby redaktor pisma, lub wydawca książki robił jakiegolwiek trudności z racji płci autorki, lub oceniał taniej jej utwór z tej samej przyczyny.

A jednak i w tej dziedzinie istnieje nierówność, na którą bardzo gorzko skarżą się autorki francuskie. Żadna kobieta pisząca, nawet największa sława, nie może zasiąść na fotelu Akademii francuskiej, od czasów jej założyciela, kardynała Richelieu, t. j. od XVII-go wieku, nie się pod tym względem nie zmieniło. Ale nietylko stara Akademia oficjalna, to samo zastrzeżenie istnieje w drugim instytucie literackim, w prywatnej akademii Goncourtów.

Żadnej kobiety!

Na pociechę miłym siostrzom francuskim przypomnieć by można, że i Molier nie był w Akademii i że dziś stoi tam jego popiersie z napisem: „Twojej sławie nic nie braknie, naszej zabrakło ciebie“! Cóż, kiedy francuzki są sobie same winne: nie umieją wziąć odwetu. Oto od r. 1908 istnieje, przyznawana corocznie, nagroda literacka „Feminy“. Przyznano ją już 18 razy (była krótka przerwa w czasie wojny), i cóż? Cztery tylko kobiety są jej laureatkami! A przecież nie brak we Francji dobrych, więcej, świetnych autorek. Pocóż więc kłaść laur na głowę tych zaciętych przeciwników nagradzania twórczości kobiecej?

Polska i pod tym względem przoduje w sprawiedliwości, mamy laureatki miast i autorki nagrodzone wysokimi odznaczeniami za prace literackie, a jeśli będziemy mieli akademię, napewno żaden głos nie powstanie przeciwko wprowadzeniu do niej kobiet.

Z niezwykłą okazałością uczciła i pożegnała Francja swego wielkiego syna, marszałka Joffre'a.

Z lecznicy, w której zmarł bohaterski wódz Wielkiej Wojny, przeniesiono zwłoki jego do kaplicy Szkoły wojskowej, gdzie spoczywały na łożu polowem, okryte szarym płaszczem. Otoczyły zmarłego wszystkie ordery Francji i świata, ułożone na poduszkach; na piersiach miał tylko „médaille militaire“, odznaczenie, które otrzymać może każdy waleczny, prosty żołnierz, z oficerów zaś tylko wódz naczelny, za wygraną kampanję. Wartę trzymali uczniowie szkoły. Drugą, ostatnią na ziemi noc spoczął Joffre w katedrze Notre Dame, w trumnie, której nie strzegła żadna warta żywa, tylko cztery pancerze i cztery helmy rycerskie z XVI-go wieku, ustawione w czterech rogach katafalku.

Pogrzeb stał się olbrzymią manifestacją ludu, oddającego cześć swemu „ojcu Joffre“. Zawieziono go, złożonego na lawecie armatniej, przed posąg, wyobrażający Strasburg, zdobyty przez Francję, i przed grób Nieznanego Żołnierza, któremu przewodził, aby wreszcie wprowadzić w żałobnym triumfie pod Kopułę Inwalidów.

Grobowiec, w którym spoczywają prochy Napoleona, nie będzie zresztą miejscem ostatniego spoczynku marszałka Joffre'a. Podług życzenia zmarłego, pochowany on zostanie w miasteczku Louveciennes, gdzie się urodził.

Najważniejszym chyba zainteresowaniem nadchodzących dni jest styczniowa sesja Rady Ligi Narodów i wchodzące na jej forum pretensje niemieckie przeciw Polsce.

Niemcy skarżyć się będą na krzywdy wyborcze, straszyć, na zmianę, bolszewizmem rosyjskim, lub rozpętanym nacjonalizmem własnym i grozić wszystkimi klęskami całemu światu.

Prasa hitlerowska zalewa temi groźbami świat już od szeregu tygodni, wywołując zdenerwowanie pacyfistów i niektórych polityków, tych naiwniejszych. Grozą, naturalnie, i Lidze, w której jest pewna liczba delegatów, obawiających się demonstracji niemieckich. Naogół jednak dostojne grono genewskie zdążyło już z niemi się oswoić. Za dużo krzyku przyzwyczajają do hałasu, a często wywołać może co najwyżej energiczną reakcję w kierunku uciszenia. Z punktu widzenia formalnego, miarodajne czynniki Ligi przypominają już obecnie regulamin, w myśl którego w radzie, rozstrzygającej skargę danej mniejszości, wniesioną przed Ligę, nie ma prawa zasiadać przedstawiciel państwa tej samej narodowości, co skarżąca mniejszość. Toż samo państwo nie może oficjalnie występować do Ligi, byłoby to bowiem niedozwolone wtrącanie się w sprawy wewnętrzne innego narodu.

Wobec tego regulaminu, państwo niemieckie nie powinno nic wogóle mówić w Genewie, pozostawiając głos jedynie polskiemu Niemcom.

Na takie uszanowanie przepisów Ligi wcale się jednak nie zanoszą. Niemcy chcą wygrać zawód wyborczy swoich rodaków w Polsce, jako atut międzynarodowy. Curtius zrzekł się nawet przewodnictwa sesji, aby swobodnie wygadać wszystkie pretensje i groźby. Przewodniczyć ma Henderson. Jest to fakt bardzo ważny, gdyż Anglja dotychczas nie wypowiedziała ostatniego słowa w sprawie skarg niemieckich. Jednakże pamięć wrześniowej sesji Ligi każe przypuszczać, że minister angielski nie zmieni swego ówczesnego stanowiska.

Podczas gdy w Środkowej Europie Niemcy zajmują głównie uwagę polityczną, na bliskim wschodzie rozgrywają się też ważne wypadki. Nowoczesny reformator Turcji, Kemal, o mało nie padł ofiarą zamachu zwolenników starego ustroju. Ostatnie powstanie Kurdów, które sprawiło rządowi tureckiemu dużo strat i kłopotów, ośmieliło reakcję. Przeciwnicy Zachodu, oświadczyli, równouprawnienia i reform, zwolennicy starych, pałacowych rewolucyj podnieśli głowy. Spisek, prawdziwie bizantyjski, którego celem była śmierć Kemala i powrót do dawnej formy rządów, odkryto, jak zwykle, dzięki częściowo przypadkowi, częściowo zdradzie. Kemal Ghazi ocalał; co ważniejsze: ocalała nowa Turcja.



Marszałek Jakób Joffre.

NASZA MÓWNIKA

Ile małżeństwo wymaga pieniędzy.

Dużo się pisze w „Mównicy” o małżeństwie. Jak w niem szukać szczęścia, jaki powinien być mężczyzna, a jaka kobieta; nawet, czy ta ostatnia powinna pracować zawodowo.

O jednej kwestji panuje dyskretne milczenie: ile trzeba mieć na wspólne gospodarstwo?

Sprawa niezmiernie ważna, bo ani dziś w modzie: „choćby w chatce byle z nim (z nią)”, ani nie zaprzeczy nikt, że spokój materialny jest podstawą bytu i podstawą kulturalnych jego warunków, w których jedynie wzrastać może zdrowe, normalne młode pokolenie.

O tych warunkach chcę powiedzieć kilka słów, raczej kilka cyfr.

Przestudjowałam je nienajgorzej, a ponieważ mam synów dorosłych, więc i wspólnie z nimi układaliśmy wiele razy ten budżet, nie tak uroczyście może go nazywając, ale nieucząc zato sumiennie.

Młody człowiek chce założyć rodzinę: środowisko inteligencji pracującej.

Młodzi ludzie chcą mieć przedewszystkiem własny kącik: nieduże, ale swoje, przez siebie urządzone mieszkanko.

Przypuśćmy, że mają nawet meble, raczej „na meble”, garnuszki i filiżanki. Ktoś dał: rodzice, stryjek, czy babcia, to nie wchodzi zresztą do stałego, rocznego budżetu.

Ale za mieszkanie trzeba stale płacić. W Warszawie dwa pokoiki, wynajęte od gospodarza, jak bułka za grosz: 250 zł. miesięcznie (dobrze, jeśli nie żądają za rok zgóry). Dochodzi do tego opał, światło, gaz, drobne porządki domowe, przypuśćmy 50 zł. Pensja służącej 50 (b. skromnie); życie, trzy osoby (tylko narazie), jeśli wliczymy, nie jakieś przyjęcia, ale ot, poczęstowanie od czasu do czasu, filiżanką kawy, czy herbaty paru najbliższych gości, 300 zł. Ubranie, jeśli młoda para nie zamknie się bezapelacyjnie w domu, jeśli chce utrzymać się na pewnym poziomie życia towarzyskiego, aby małżonek miał przyzwoity frak, smoking, dwa garnitury, odpowiednie obuwie i bieliznę; małżonka parę sukienek, parę par pantofelków, wszystkie dodatki (wiadomo, jak teraz dobiera się je do każdej toalety), to trzeba liczyć bardzo skromnie, bez żadnych broń Boże, kosztownych futer, lub biżuterji, 200 zł. miesięcznie na dwoje. Pozostają drobne wydatki (aha, *drobne*, to się tylko tak zdaje): komunikacja, tramwaje, czasem taksówka, na dwoje 50 zł. Pisma, radio, książki, niechby tylko dwie, trzy kupione na miesiąc, 50 zł. Pozatem każdy dziś należy chyba do jakiegoś stowarzyszenia, uprawia jakiś sport, musi mieć choć 10 zł. w portmonetce na coś nieprzewidzianego; dajmy każdemu z małżonków po 25 zł., razem 50, chyba nie zawiele? Mamą tysiączek miesięcznie gotów!

A gdzież pójście choć 2 razy na miesiąc do teatru, lub na koncert, wystawę, czasem na dancing czy bal.

Jeżeli policzymy na to, 100 zł. miesięcznie, to tylko z nadzieją, że uda się coś urwać z tamtych pozycji.

To na dwoje, a gdy rodzina się powiększy?

Utrzymanie dzieci, kształcenie, przystępna dla nich a konieczna rozrywka, broń Boże, ale przewidzieć trzeba, kuracja?

Na to musimy już liczyć 1500 — 800 do 2 tysięcy.

Taką sumę trzeba mieć, aby spokojnie patrzeć w przyszłość.

Czy wielu jest młodych ludzi, tyle zarabiających?

O, wiem, jakie usłyszę argumenty: całe rodziny żyją za 300, 400 zł. miesięcznie i t. p. i t. p. Cóż z tego? Życie można za tyle i nawet za mniej; nie o to mi chodzi. Biorę w tej chwili pod uwagę ludzi, którzy muszą zaspokoić pewne wymagania swoje i otoczenia, pracującą umysłowo inteligencję, elitę społeczeństwa przeciętne!

Jeśli ci ludzie mówią, że mogą wydać mniej, to albo nie mówią prawdy, albo się ludzą, albo sztukują rozpaczliwie, lub odmawiają sobie wszystkiego.

Jaka jest na to rada: czy zmniejszyć stopę życiową, czy

zwiększyć przedsiębiorczość i intensywność zarobków? Nie wiem. Byłabym bardzo rada, gdyby panie wypowiedziały się w tej kwestji. Federacja klubów kobiecych w Ameryce określiła, że mężczyzna, pragnący się ożenić, musi zarabiać 250 dolarów miesięcznie. Ile zarabiać musi u nas mąż, ewentualnie oboje małżeństwo? Powtarzam, nie chodzi mi o to, ile koniecznie wydać trzeba na dach nad głową i utrzymanie życia, nie będąc głodnym, ale o byt skromny, utrzymany jednak na pewnym poziomie wymagań, które życie stawia pracownikowi takiemu, jak lekarz, nauczyciel, urzędnik, oficer, dziennikarz i wielu innych.

Budżet ich nie jest łatwym zadaniem.

Wanda R. — Warszawa.

Trójjęzyk.

Dawno, bardzo dawno, bo wtedy bywały jeszcze kobiety „stare” i to nie przez niezręczne utajenie, tylko otwarcie, na wesoło stare. Taka jedna starsza pani powiada do nas dwu, studentów:

— Dalej, chłopcy! opowiedzcie, jakich wam teraz kobiet trzeba, na żony, oczywiście, bo przecież ja, wychowując dziewczętą, chciałabym... nie na stare panny, a zwłaszcza one toby chciały... nie na stare panny.

— Otóż właśnie! Prosimy o takie, co chciałyby „nie na stare panny”. To najlepszy gatunek — zabrał głos kolega Janek.

— Pst! Rozmowa ma być serjo. Pański ideał, panie Janie?

— Prawda, jestem idealistą. Nie chcę za żonę chłopczycy, co to i do biura ze mną, i do knajpy, i do papierosów. Kolegów równych sobie we wszystkich niedoskonałościach mam aż przez brzegi dość. Moja żona musi być czemś od święta, od piękna życia, od poezji, jednym słowem: królowa.

— O jednym, jedynym poddanym? Będzie jej trochę nudno w wolnych chwilach.

— Jej wszystkie chwile będą wolne. Ożenię się, kiedy będę mógł zapracować na rodzinę sam.

— Wie pan? Gdybym miała córkę na wydaniu, nie dałabym jej panu.

— Ona sama za mnie by wyszła.

— Prawdopodobnie, ale nie pożądanie.

— A za mnie oddałaby szanowna pani córkę? zapytałem niezmiernie skromnie. Jabyłem chciał żonę nie od święta, tylko na codzień. Strasznie bliskiego przyjaciela, na codzień, na zawsze, a żoną żeby była czasem. Potem znowu *da capo*: przyjaciel, narzeczoną, wyśnioną, wymarzoną... tak wkońko. I żeby była: matką.

— Panie, gdybym tak miała dwie córki (jak żadnej nie mam) na wydaniu, obie dałabym panu! zawołała starsza pani z entuzjazmem. Jeżeli pan tak potrafi, z pana będzie wspinały mąż. Pierwsza klasa!

Ożeniłem się, ale nie potrafiłem.

Bardzo byłbym ciekawy wiedzieć, czy młode panie podziwiają sąd mojej znajomej starszej pani.

Holstorp Henryk — Łąck.

Wezwanie.

W odpowiedzi na wezwanie p. dr. Kastarskiej w sprawie zaopiekowania się mogiłą Klementyny z Tańskich Hoffmanowej w Paryżu, jako Jej krewna po matce (która jest także Tańska z domu), śpieszę z projektem zawiązania Komitetu Opieki nad mogiłą ś. p. Hoffmanowej i zbiórki na ten cel pewnego funduszu tu w kraju, a następnie realizacji już tego czynu na terenie Paryża, gdzie należałoby, ewentualnie za łaskawym pośrednictwem i naturalnie przy współudziale p. dr. Kastarskiej, znaleźć grono chętnych do podjęcia się stałej opieki nad mogiłą Hoffmanowej.

Trudno bowiem byłoby chyba myśleć o przewiezieniu Jej zwłok do kraju?

Na zapoczątkowanie tej akcji składam w Administracji „Bluszczu” zł. 20.

J. Korulska — Grodno.

JAK KOBIETY ZELEKTRYFIKOWAŁY ANGLJĘ

My w Polsce przywykliśmy wyobrażać sobie Anglję, jako kraj o najdoskonalszych urządzeniach kulturalnych: wszystko, co angielskie, jest trwałe, wykwintne i najlepiej nadające się do celu, do jakiego zostało zrobione. Bezwątpienia tak jest, ale drugim pewnikiem jest, że... nic z tego nie zrobiło się samo, a wszystko powstaje wytrwałym, wielkim wysiłkiem pracy zbiorowej, wysiłkiem, wzmagającym się stale w swem natężeniu i rozwoju, z czego stanowczo zamało zdajemy sobie sprawę.

Weźmy np. elektryfikację. Każda z pań przypuszcza napewno, że angielski mają raj elektryczny: kuchnie, pralnie, odkurzacze, wszystkie przyrządy, jednym słowem, zelektryfikowane gospodarstwo, ułatwione do najwyższego stopnia; a kto tego dokonał? No, przecież to Anglja, tam wszystko jest udoskonalone! Racja, jest udoskonalone, ale jaką drogą? Samo się tak udoskonalilo?

Rozumie się, że nie. Wszystkie te piękne rzeczy, made in England, robią przecież zwykli ludzie, zwykłymi, ludzkimi sposobami, wkładają w nie tylko dużo umiejętności i energii.

Jeszcze lat temu sześć elektryfikacja, zwłaszcza w zakresie gospodarstwa domowego, nie była wcale w Anglii tak powszechna, jak dziś, to zaś, co jest obecnie, rozwinęło się głównie dzięki inicjatywie kobiet.

W r. 1924 powstało „Stowarzyszenie elektryczne dla kobiet”. Cel: czynna propaganda elektryfikacji we wszystkich klasach społecznych, dla wszelkich urządzeń, w każdym zakątku kraju; członkinie: wszystkie kobiety, od robotnic fabrycznych do inżynierek i docentek uniwersytetów.

Stowarzyszenie to, wydające, naturalnie, własne pismo: „The electrical age for women”, mające oddziały, Koła i Komitety w każdym miasteczku i wiosce, w każdej szkole i fabryce, rozwinęło wybitnie intensywną działalność. Dewizą jego jest, że elektryczność stała się dziś niezbędnym czynnikiem każdego gospodarstwa, który kobiety winny znać i stosować. Elektryczność, to nie przewodnik w ścianie i tajemniczy

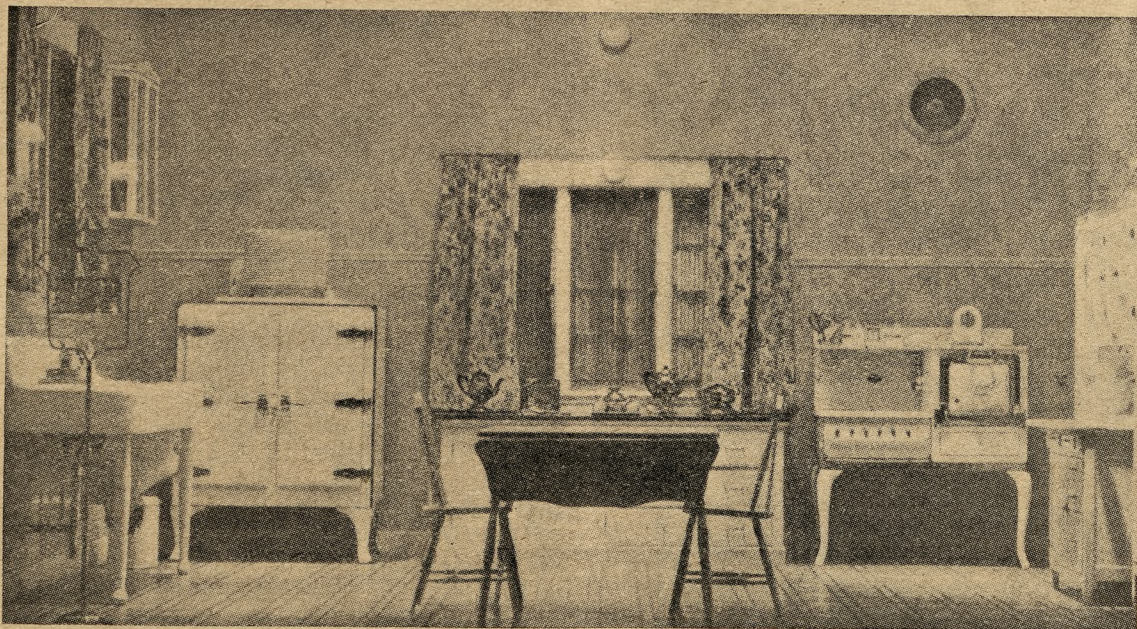
kontakt, z którym nie wiadomo, co robić, gdy odmówi chwilowo swej usługi, ale takie samo narzędzie, jak szczotka, lub ogień pod blachą, z którym trzeba umieć się obchodzić. To też nad każdą szkołą gospodarstwa domowego czuwa instruktor-inżynier, który nie tylko zaprowadza całą instalację gospodarczą, kuchenki, grzejniki, odkurzacze, żelazka, ale przygotowuje uczennice, aby umiały zmontować każdy z tych przedmiotów, naprawić w razie zepsucia się, wynaleźć i założyć przepalony korek i t. p.

Specjalną uwagę zwraca się na oświetlenie, na to, aby lampa nie tylko dawała światło, ale by każda była najdoskonalej zastosowana do swego właściwego, specjalnego celu. Instalacja światła w szkołach jest przedmiotem licznych studjów, całego szeregu tablic, ilustrujących sposób umieszczenia, natężenie światła, rodzaj kloszów lamp w klasach szkolnych, pomimo, że przecież światło elektryczne w szkole rzadko tylko i na krótko bywa używane.

Ten zapał do elektryfikacji, precyzyjność i artyzm w jej zastosowaniu i energia propagandowa stowarzyszenia wywierają jaknajlepsze skutki. Przy systemie „rozdzielczym” decentralizacji, stwarzania w każdej miejscowości Kół, których członkinie uważają za swój elementarny obowiązek intensywną pracę nad szerzeniem i stosowaniem wszystkich wynalazków i ulepszeń, czyż możemy się dziwić, że dziś istotnie każdy dom w Anglii jest zelektryfikowany i że każda gospodyni gotuje, prasuje, pierze, sprząta przy pomocy narzędzi elektrycznych. Jak one skracają i ułatwiają jej zadanie, nie potrzeba mówić.

Obok urządzeń domowych, są naturalnie i publiczne zakłady, wykonujące różne prace gospodarskie przy pomocy elektryczności, przede wszystkim pralnie. Coś bajecznego! Każda sztuka bielizny, przybywająca do sortowni, nacechowana specjalnym znakiem, wrzucona zostaje do napełnionego wodą z mydłem kotła, wewnątrz którego obraca się wałek cylindryczny. W ten sposób bielizna kręci się ciągle wokółko w cieplej, mydlanej wodzie i pierze bez tarcia.

Po wypraniu i wypłókanu mokre sztuki wchodzi do drugiego kotła, w kształcie wielkiego cylindra z dziurkowanymi ścianami, obracającego się z zawrotną szybkością. Ciepło i ruch wysusza bieliznę w przeciągu 35 minut. Dalej następuje prasowanie. Do każ-

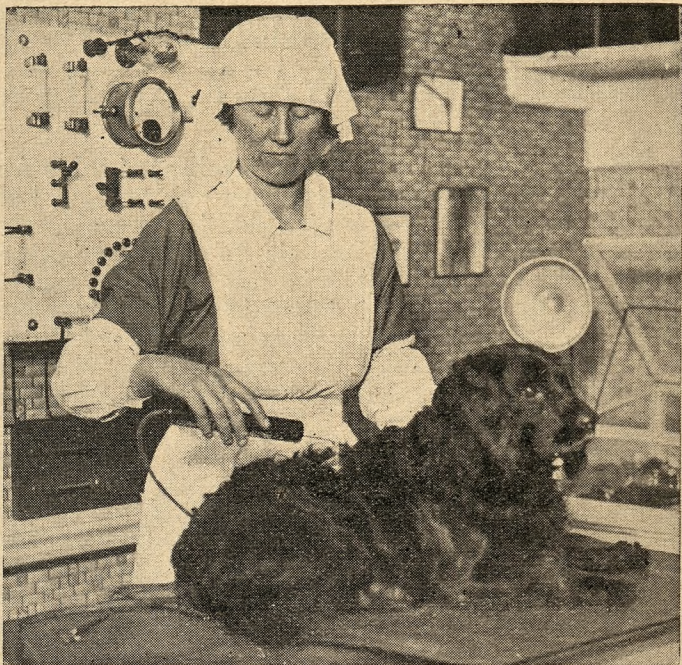


Kuchnia zelektryfikowana.

dego gatunku bielizny stosuje się inny rodzaj maszyny, pozwalający wykonać pracę w najkrótszym czasie. Prasowanie polega na pociśnięciu kontaktu i wsunięciu sztuki bielizny w aparat. Przy koszulach męskich np. stosuje się parę rodzajów maszyn: jedne prasują gorsy, inne mankiety, jeszcze inne kołnierze; ostatnie „mistrzowskie” dotknięcia wykończa się już maleńkim żelazkiem. Cóż więc dziwnego, że elektrownia londyńska, zamyka w swych murach siłę 140 tysięcy HP., wytwarzając, zapomocą ośmiu turbogeneratorów, około miliona kilowatów dziennie!

Elektryczna wygoda, a nawet, jak widzimy, zbytek, psują trochę, rozumie się, ludzi, którym doprawdy czasem zachciewa się elektrycznej gwiazdki z nieba lub kafelka z pieca. Będąc kiedyś w sklepie, trafiłam na następującą scenę: jakaś pani ogląda kuchenkę pokojową do śniadania: wytworny stolicek z imbrykiem do wody, maszynką do kawy, patelnią do ulubionych tutaj toastów i rondelczkiem do gotowania jajek na miękko. Każde z tych naczyń ma oddzielny guziczek kontaktowy. Otóż ten ostatni szczegół wzbudził wielkie niezadowolenie owej damy. Dlaczego nie można zapalić wszystkiego, naciśnięciem jednego kontaktu? Co za niezmierny ambaras, fatygować rękę cztery razy! Kiedyś znów jakaś pocziwa starowina skarżyła mi się: „podobno w Szwecji są w kościołach elektryczne piecyki, ogrzewające każdą ławkę; że też w Londynie niema takich udogodnień, nogi ziębną”!

Pocieszyłam ją, że pewno już niedługo zostanie to wprowadzone, ale przytem nie mogę powstrzymać się od smutnej refleksji: a u nas? U nas, zdaje się, jakby czynnikom miarodajnym zależało na jaknajmniejszym rozwinięciu elektryfikacji. Przedewszystkiem, dlaczego prąd jest tak horendalnie drogi? 73 grosze za kilowat-godzinę nie płacił nikt, w żadnym kraju. W dodatku elektrownia, np. warszawska, ma oryginalną politykę: nie wolno zwiększyć ilości lamp, nie wolno używać żadnego przyrządu, żelazka, kuchenki etc., bez pozwolenia. Dlaczego? Czy ktoś ukryje zużyty prąd, czy chodzi o to, aby wychodziło go jaknaj-

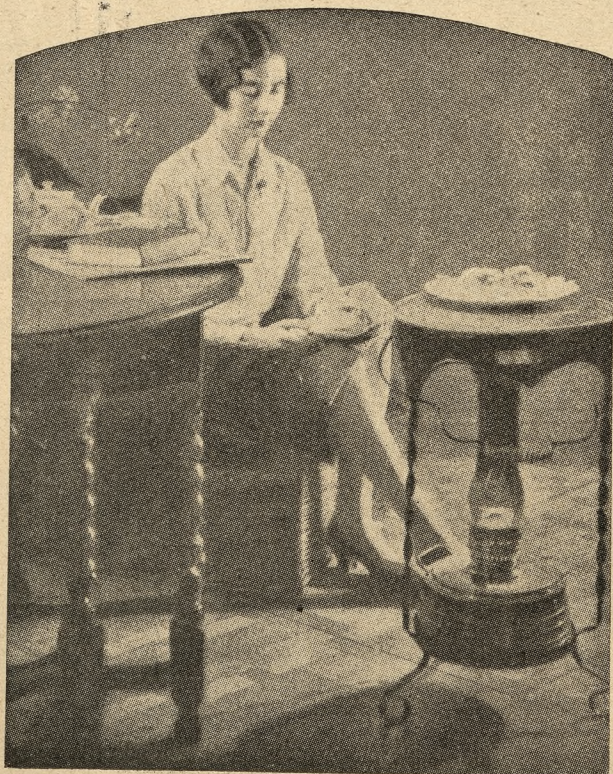


Można ostrzyć pieska elektrycznymi nożyczkami.

mniej, a nie jaknajwięcej? Cóż tu mówić o elektryfikacji na szerszą skalę! Pozatem, wszystkie naczynia są tak drogie, że najmniejszy komplet kosztuje kilkaset złotych; czy to wszystko możliwe na kieszeń średnio zamożnej inteligencji?

Trzeba, aby nowopowstały Związek Pań Domu zajął się tą sprawą, jako jednym ze swych naczelnych zadań. Wspomniana przezemnie pani, która chciała koniecznie mieć jeden kontakt do czterech naczyń, zwróciła się z reklamacją do elektrowni, która bardzo uprzejmie i poważnie zapewniła ją, że postara się wprowadzić tę zmianę. Chyba i w Polsce postulaty wielkiego związku spożywczych nie pozostaną bez skutku. Trzeba tylko robić to, robić energicznie i jaknajprędzej, bo naprawdę zbyt słaby jest u nas, tak potężny już na całym szerokim świecie, prąd elektryczny.

E. Boromska-Treadwell.



Elektryczny stolik do gotowania.

DROGA DO SZCZĘŚCIA

Autorka francuska, ukrywająca się pod pseudonimem „Pierre de Coulevain”, neguje siłę przypadku, twierdząc, że wszystko, co nas w życiu spotyka, jest powiązane w jedną nierozzerwalną całość, jest skutkiem, wypływającym z bezpośredniej przyczyny. Starciu się dwóch odrębnych indywidualności, przygodnym napozór znajomościom, książce, która trafi do naszych rąk w specjalnym momencie psychologicznym — wszystkim przeoczonym przez niewyimaginowaną w tym kierunku spostrzegawczość i wnikliwość ludzką, najdrobniejszym faktem i przeżyciom Pierre de Coulevain nadaje cechy opatrnościowe, które kierują rozwojem intelektualnym człowieka, kształtują jego „ja”, prowadzą po drodze, zgóry wytyczonej przeznaczeniem.

W chwilach życiowej depresji, wywołanej przeciwnościami losu, umiejętność wzbudzenia wiary w to, że każdy dzień, każda nieomal godzina może przynieść nam podstawową zmianę, że żadna dola nie jest ostatniem słowem wyroku, że niewiadomo, skąd, kiedy i jakie czeka nas ulaskawienie — jest bezsprzecznie wiel-

kiem dobrodziejstwem, tem więcej, że autorka umie oddziaływać na psychikę, a szczególnie na wrażliwą psychikę kobiecą.

Dzisiaj, kiedy zgola nieoczekiwanie i przypadkowo wpadła mi w ręce książka. Dr. Victora Pauchet. zatytułowana „Le chemin du bonheur” („Droga do Szczęścia”), mimowoli zwracam się ku wierzeniom Pierre de Coulevain z uśmiechem porozumienia. Kiedy życie postawi nas przed zamkniętymi drzwiami wszelkich możliwości wyczarowania uśmiechu, kiedy nie daje nam ono nie poza zdrowym chlebem spełnianego dzień po dniu obowiązku, jakże radosnem staje się pozyskanie wiary w to, że wystarczy tylko chcieć i umieć sięgnąć dalej i wyżej, aby uświetnić stół, przy którym zasiadamy, wiązką kwiatów, aby uwierzyć, że nikt i nic nie zacieśnia naszych horyzontów, nie ogranicza drogi, po której kroczymy, że tylko my sami jesteśmy twórcami naszego szczęścia i powodzenia. A wiarę tę budzi, umiejętności tej uczy Dr. Victor Pauchet. I dlatego chcę podzielić się z Paniami tem, co znalazłam na pierwszych przeczytanych stronach. Mam wprawdzie wątpliwości, czy temat ten jest ściśle „praktyczny” — a takim jest przecież zakres zagadnień, poruszanych przez nas w dziale „Bluszczu”, który wydrukuję te słowa. Sądję jednak, że dobra organizacja życia — to szczyt rozumnej *praktyczności*, a polega ona przecież w równej mierze na organizacji *życia zewnętrznego*, jak i *wewnętrznego*.

Filozofja dr. Pauchet głosi:

„Człowiek dysponuje taką dozą zdrowia, powodzenia, szczęścia, na jaką sam sobie zasłuży. Aby zdobyć zdrowie, trzeba mądrze żywić maszynę ludzką i mądrze nią kierować. Aby zdobyć powodzenie, trzeba doskonalić dodatnie strony natury, zwalczać — ujemne. Niema pełnego zdrowia bez równowagi moralnej; niema pogody ducha, prawdziwie żywej inteligencji, solidnego charakteru, jeżeli organizm nasz nie działa sprawnie. Powodzenie i szczęście nie są bynajmniej udziałem jednostek wyjątkowych; silna wola wystarczy; trzeba więc ją ćwiczyć, wyrabiać w sobie spokój, uprzejmość, życzliwość dla ludzi, optymizm. Dewiza: „chcieć — to móc” powinna być gwieżdżką przewodnią każdego człowieka.

Jest faktem dowiedzonym, że każdy normalny człowiek posiada w sobie kapitał sił fizycznych i moralnych, wystarczający do zdobycia powodzenia, pod warunkiem, aby zdawał sobie sprawę z ich posiadania, aby robił wszystko, co w jego mocy, dla zachowania ich i rozwijania w stosunku do skali swych ambicji i pragnień.

Każdy człowiek podlega dwu rodzajom wychowania: jeden jest mu narzucony z zewnątrz; drugi, daleko ważniejszy i odpowiedzialniejszy — to ten, któremu poddaje sam siebie (Gibbon).

Amerikanin nie wierzy w bezustanną dewenę; szczęście uśmiecha się do każdego. „Nieszczęśliwi” — to ci, którzy nie umieli osiągnąć zdolności uchwycenia szczęścia w locie i utrwalenia go, jeżeli go uchwycili.

Powodzenie człowieka jest uzależnione od jego osobistej wartości; ta wartość może być podwojona, dziesięćkroć zwiększona, jeżeli posiadzimy dar wykształcenia w sobie zalet i zdolności dziedzicznych, drzemających w każdej naturze.

Siłą przyzwyczajenia i zgubnym pesymizmem kierowani, mówiąc o „dziedziczności”, bierzemy pod uwagę jedynie usterki i wady charakteru; rzadko kiedy uwzględniamy zdolności. Wreszcie nasz „zbyt krótki wzrok” nie sięga dalej, jak do analizowania rodziców, dziadów; zapomina o tysiącach generacji, które nas poprzedzały. Każda komórka mózgowa zamyka

w sobie cenne zalety, lub odrażające wady przeszłych pokoleń; wady te i zalety drzemają w załamkach mózgowych i są przeznaczone, zależnie od wpływu wychowania i pracy nad sobą, do osiągnięcia najwyższego stadium rozwoju, albo zaniku.

Zróbmy drobiazgowy rachunek sumienia, poznamy siebie, przeprowadźmy szczegółową selekcję; pozostawmy *wady* w uśpieniu, a zbudźmy *zdolności* dziedziczne, które powinny złożyć się na cenną umysłowość, szlachetny charakter i wspaniałe duchowe i cielesne zdrowie.

Dajmy przemówić naszym pragnieniom, dążeniom i ambicjom; wyzwólmy naszą wolę, poczucie sprawiedliwości, estetyki, życzliwości dla drugich, które odziedziczyliśmy po dawnych pokoleniach.

Historja tej fizycznej, moralnej i umysłowej dziedziczności jest historją starych portretów rodzinnych, przysypanych kurzem, spoczywających w zapomnieniu na mrocznych strychach. Sto razy przechodzimy koło nich, nie patrząc w ich stronę, aż po dzień, kiedy przygodny znawca zwróci naszą uwagę na posiadane skarby. Oczyszczone z kurzu i umieszczone na właściwem miejscu, płótna zapoznanych mistrzów zdobiją ściany salonów wspaniałym blaskiem.

Jeżeli nie jesteśmy zadowoleni ze swego losu, zbudźmy w sobie siłę odziedziczonego dobra i energii, kształćmy je, a staną się idealną pożywką dla powodzenia i dobrego samopoczucia.

Sainte-Beuve (sławny krytyk francuski — rok 1804 — 1869) wypowiedział pamiętne słowa:

„Szczęście — to posiadanie zalet, które nie stoją, ani powyżej, ani poniżej okoliczności, ale znajdują się na ich poziomie”.

Jeżeli chcemy chwycić wlot powodzenia, bądźmy zawsze pod bronią — bądźmy gotowi!

Jeżeli czujemy się zmęczeni, zniechęceni, nieszczęśliwi, jest to wina złej organizacji naszego życia fizycznego i moralnego. Zreformujmy naszą egzystencję, narzućmy sobie całkowitą reedukację fizyczną i psychiczną.

Nasze powodzenie życiowe jest uzależnione nie od losu i przypadku, a przede wszystkim od nas samych.

Aby zdobyć to powodzenie, trzeba umieć kierować okolicznościami i ludźmi, trzeba umieć się im w miarę potrzeby podporządkować. Jednak, aby móc kierować drugimi, trzeba przede wszystkim zdobyć panowanie nad samym sobą. We władaniu sobą można wydoskonalić się, jak w sztuce, jak w sporcie. Jeżeli chcemy nadać swej egzystencji upragniony kierunek, nauczmy się wiedzieć, dokąd dążymy i dążyć planowo do celu. Wierzmy w powodzenie. Najłatwiej zwyciężają optymiści, ci, którzy mają wiarę w drugich, wiarę w siebie. Optymista kocha życie, widzi tylko piękne strony, oczekuje szczęścia i zdobywa je.

Podłożem optymizmu jest zdrowie, które zdobywamy i zachowujemy przez przestrzeganie higieny i kulturę fizyczną.

Autor książki „Le chemin du bonheur” motywuje logicznie i drobiazgowo wszystkie wysunięte w pierwszym rozdziale postulaty. Uważne zaznajomienie się z treścią jego pracy — to zdrowy pokarm, pozbawiony elementów pozy i przesady. Wpojenie w człowieka przeświadczenia, że sam jest „kowalem własnego losu”, wskazanie mu drogi do zdobycia pełni poczucia odpowiedzialności za to, kim jest i jak swym losem pokieruje — to zbliżenie go o krok do ideału równowagi, pogody i powodzenia. Tego nas właśnie uczy autor. To też słusznie wysłał w świat swe złote myśli i cenne rady pod fascynującym nagłówkiem: „Droga do Szczęścia”.

Wanda Dobrzańska.

A full-length illustration of a woman in a dark, pleated dress with a sheer capelet and a large floral corsage. She is standing and looking to the right. The dress has a high neckline and a long, flowing skirt. The capelet is draped over her shoulders and has a sheer, possibly lace or tulle, texture. A large, dark floral corsage is pinned to the left side of her waist. She is wearing a small, round earring and a bracelet on her right wrist. Her right hand is raised slightly, and her left hand is resting on her hip. The background is plain.

Wróciły też do mody długie rękawiczki. Największem powodzeniem cieszą się czarne glansowane, noszone nawet do jasnych sukien. Wtedy obowiązują czarne pantofle, kwiaty czarne, połączone z kwiatami w kolorze sukni, i czarny woreczek.



Bo nieodzownym towarzyszem tańczącej pani jest woreczek, dobrany odpowiednio do toalety. Wkłada do niego chusteczkę, puderniczkę, grzebień, trochę perfum lub wody kolońskiej w małym flakoniku, pomadkę do ust i t. p. Woreczek więc nie może być zbyt mały. Modne są obecnie czarne morowe, w kształcie koperty lub woreczka, ozdobione strassami. Z czarnej antylopy, ozdobione dyskretnie okuciami srebrnymi. Lamowe złote i srebrne, które można nosić do kilku sukien. Wreszcie lśniące ze srebrnych lub złotych perelek, czy cekinów, łączy się je często z czarnym kołorem.

Pantofelki balowe nosi się jedwabne, dobierane do koloru toalety, czarne atlasowe, czy crêpe de chine'owe, odpowiednie do każdej sukni, lub bardzo kosztowne ze srebrnej albo złotej skórki.

Mabel.

MONETKA-AKSAMITKA

Goście, którzy tłumnie zjechali na święta Bożego Narodzenia 1927 do Nałęczowa, do dziś wspominają fakt, jakiego tam wówczas byli naocznymi świadkami i którego smaczne skutki na własnym odczuli podniebieniu.

Było to 28 grudnia przy 18 st. mrozie i śniegu, skrzypiącym pod butami, jak zardzewiałe zawiasy. Po nocy niemal bezsennej, skutkiem nadmiernego użycia „Miłości” — darujcie, Panie, ten erotycznie zalatujący fragment, ale „Miłość” nałęczowska, to tylko — woda, i to najzwyczajniejsza woda ze studni, którą ś. p. Żeromski nazwał „Miłością” — tylko chyba dlatego, że, jak miłość, rozdrażnia i sen odbiera. Otóż po nocy tej wyszedłem wczesnym rankiem do przestronnego nałęczowskiego parku, w morze rozkosznego, zimowego słońca.

Walęsając się tu i owdzie, podziwiając prześliczne okazy uśpionej flory, rzecz prosta, z nałogu zażęskniłem za grzybami. — Och, gdybyż przynajmniej muchomor, niechby i „śmierć leśna” była nawet! — wzdychałem w duszy. Nie wiecie państwo bowiem, czym dla grzybiarza jest zima, jak okropnie czuje się on w czasie jej trwania osierocony i z jaką tęsknotą wyczekuje pierwszych podmuchów wiosny, która — jakby w nagrodę za długie, smutne bezgrzybie — wypędza, niemal z pod śniegu jeszcze, niezliczone czerechy przepysznych smardzów... które Polska sprzedaje co roku setkami tysięcy kilogramów po 1 zł. 40 gr. niemieckim i żydowskim handlarzom, gdy na przykład Szwajcaria płaciła za nie wiosną 1929 roku po 21 franków szwajcarskich za kilo!!!....

Wśród takich to smutnych przyrodniczo-gospodarczych rozmyślań zaszedłem w gęszcz krzaków, zachęcony widokiem licznych, pękających czap śnieżnych, jakie narosły na każdym niemal ściętym pieńku, tu i ówdzie zaś i z boku przyziemnych części pni żywych. Niegrybiarz minąłby czapy te z najzupełniejszą obojętnością; ale ja poskoczyłem ku nim skwapliwie. Strzepnąwszy śnieg z najbliższej czapy, zatriumfowałem głośno: — Witajcież, monetki!

Tak, to były one: pełne, przepiękne bukiety grzybów żywych, świeżych, pokryte zupełnie czapami śniegu, jakby na oczywisty dla człowieka dowód, że zima, śnieg — to nie śmierć, jak nauczyli nas mawiać przyrodniczo niewykszoleni poeci, ale życie, bardziej wartościowe i pełniejsze, niż latem, bo w wypełnionych po brzegi zapasowych spiżarniach korzeni, bulw i kłaczów roślin zielonych czerpią dosyć nietylko larwy i pędraki owadów i wszelkie inne pod — i nad-

ziemne zoologiczne stwory, ale i panoszące się wówczas najintensywniej grzybnie rozlicznych grzybów, które, biorąc z roślin zielonych niezbędny dla siebie do życia cukier, odpłacają im tem wszystkim, czego roślina zielona, z braku liści zimą, zdobyć i wytworzyć sama nie jest w stanie.

„Monetki” były twarde, jak szkło i, jak ono, kruche i dźwiękliwe. Cienkie, powyginane, aksamitno-czarne trzonki, w dnie ciepłe twarde i elastyczne, teraz, za najmniejszym naciskiem kruszyły się, jak szklane. Kapelusiki płaskie, jak monety okrągłe i jak one, rdzawo-brązowe, po złamaniu miały kanty tak ostre, że w chwili nieuwagi zaciąłem się niemi w rękę dość głęboko. Mimo to zrywałem grzyby łapczywie, wciąż nowe odnajdując ich kępy, aż zrozumiałem, że sam nie podolał i pobieglem do zakładu po pomoc. Dano mi chłopaczka kredensowego i — duży kosz od bielizny. We dwóch poszło rażniej i wkrótce kosz, dobrze kopiasty, z trudem podźwigaliśmy do zakładu.

Zbliżała się pora obiadowa; skorzystałem z niej dla celów dydaktycznych, stawiając kosz z grzybami pośrodku ogromnego stołu. Wtajemniczona gospośka kuchni przyrzekła uczynić wszystko według programu. Wkrótce poczęli schodzić się goście; każdy, zdziwiony widokiem kosza zaglądał doń ciekawie; ale nie rozumiejąc tak dziwacznej tu jego obecności, zajmował miejsce w milejącem oczekiwaniu wyjaśnień. Wreszcie, gdy nadeszli wszyscy, zabrałem głos, tłumacząc przyczynę pojawienia się kosza na stole i zapraszając na grzybową przystawkę, jaką obiecałem podać wszystkim obecnym przy kolacji.

Po skończeniu wykładu, nasłuchiwałem się dość kpinek i krytycznych uwag, jakie z różnych stron jałdali do uszu mych dolatywały. Jakże jednak zmie-



Monetka-aksamitka.

nił się nastrój biesiadników przy kolacji!... Zrazu pierwsi, którym dymiące aromatycznie grzyby na talerzykach podawałem, zachnęli się: — Nie, dziękuję, obawiam się! — Inny z widoczną urazą zastrzegł się: — Nie jadam psich grzybów! — Wreszcie znalazł się ktoś odważniejszy, grzyby przyjął i począł je jeść śmiało, zwolna się w nich rozsmakowując. Wtem, przestając jeść, z widocznym zdziwieniem wpatrując się we mnie, entuzjastycznie wykrzyknął: — Ależ to znakomite, niesłychane! Co to za grzyby?

No, i stało się, czego oczekiwałem: w jednej chwili zabrakło rąk do nakładania grzybów na talerze i obnoszenia ich po sali!...

Odniosłem triumf na całej linii! Jakieś trzy młode, piękne panie pogniwowały się na mnie za odmowę podania im drugiej porcji. Trudno! protekcja, nawet taka, nie mogła wskórać nic, wobec konieczności obdzielenia grzybami... sześćdziesięciu ośmiu osób!...

No, i czy słyszał kto kiedy coś podobnego?... Pójsz na grzyby we dwóch, przy końcu grudnia, przy 18 st. mrozie, i znaleźć ich w parę godzin tyle, by wystarczyło na 68 osób?!...

I to w jednym tylko niewielkim zakątku parku, tuż pod domem, nie w lesie!...

A ileż ich w lasach?!...

O tem ostatniem właśnie czytamy „dziwną“ uwagę w sprawozdaniu zarządu hal targowych miasta Chemnitz (w Saksonji), podaną w zeszycie Nr. 8 — 10 z 30 września 1930 organu „Zeitschrift für Pilzkunde“, wychodzącego w Darmsztacie. Notatka ta brzmi następująco: „Man mag in Polen erkannt haben, dass

dem Pilzhandel in volkswirtschaftlicher Beziehung grösseres Interesse entgegenzubringen ist!“ Wydrukowano ją tam wyraźnie rozstrzelonym drukiem! Naiwni Niemcy! myśleli, że to ktoś w Polsce przeczytał!... No, ale może teraz?... No, i może ktoś to zrozumie wreszcie?... Tym, którzy niemieckiego języka nie znają, tłumaczę notatkę dosłownie: „Mogłaby Polska wreszcie zrozumieć, że w zakresie gospodarki społecznej większą uwagę należy zwrócić na handel grzybami“.

Zdziwione, zapytacie Panie pewno: — A cóż to ma wspólnego z przystawką w Nałęczowie, co z „monetką“?...

Odpowiadam tak: — Monetka-aksamitka (Collybia velutipes Curt., co znaczy dosłownie: „collybia“ z greckiego „kollybos“ = moneta, pieniądz zdawkowy; „velours“ (francuskie) = aksamit „i velouté“ = aksamitka, puszek; wreszcie łacińskie „pes“ = noga, zaś „Curt.“ oznacza Williama Curtis’a, londyńskiego aptekarza i słynnego mykologa (ur. 1746, um. 1799), który pierwszy grzyb ten opisał), nieznana dotąd w Polsce najzupełniej i nieposiadająca u nas — biedaczka! — innej nazwy ponad „psi grzyb“, rośnie właśnie wszędzie tam, gdzie pies nie...

Mimo to polak przypisuje jej (jako i wszelkim innym, nieznanym sobie grzybom!) niezwykłą własność plenienia się pod działaniem psiego moczu, jakkolwiek on nie tylko podłoża dla grzybów nie użyźnia, lecz — przeciwnie — grzyby już rozrosłe i owocujące spala i zabija!

(dok. nast.)

Prof. Feliks Teodorowicz.



PREMJE KSIĄŻKOWE DLA PRENUMERATOREK „BLUSZCZU“

W związku z komunikatem, podanym w numerze „Bluszczu“ z dn. 1 stycznia r. b., zawiadamiamy nasze prenumeratorki, że ZAMIAST DODATKU POWIEŚCIOWEGO ORAZ TYTUŁEM PREMJI ZAKUPILIŚMY DLA NICH SZEREG WARTOŚCIOWYCH I CIEKAWYCH KSIĄŻEK Z ZAKRESU BELETRYSTYKI, które będą przesyłane TYLKO PRENUMERATORKOM po uiszczeniu przez nie osobiście, przekazem pocztowym, lub na konto P.K.O. Nr. 3.700 dodatkowo, do ustalonej poprzednio prenumeraty, jeszcze kwoty 2 zł. miesięcznie.

Na najbliższe półroczne prenumeratorki nasze otrzymają następujące książki, estetycznie na wykwinnym papierze wydane.

W MIESIĄCU		Stron	Cena książki w handlu księgarskim		Specjalne ceny premjowe dla prenumeratorek „Bluszczu“.	
			zł.	gr.	zł.	gr.
Styczniu	J. LOWELL: KOLEBKA NA GŁĘBINIE	272	7	—	2	—
Lutym	O. HENRY: REWOLUCJA I MIŁOŚĆ	306	6	50	2	—
Marcu	R. MACAULAY: DWA OBLCZA	309	8	—	2	—
Kwietniu	H. G. WELLS: OJCIEC KRYSZTINY ALBERTY	424	11	—	2	—
Maju	B. TARKINGTON: KOBIETY	335	8	—	2	—
Czerwcu	W. MAUGHAM SOMERSET: SAMOTNE DUSZE	275	8	—	2	—

MASŁO I INNE TŁUSZCZE JADALNE

Kiedy mi gospodynie mówią o gotowaniu na czystym maśle tylko, żaluję ich domowników dla braku różnorodności w ich odżywianiu. Bo, jeżeli dobre, świeże masło jest idealnym dodatkiem do każdej jarzyny, jeżeli tylko na wyborowym maśle można przyrządzić wykwinny sos, jeżeli masło stanowi główną część składową ciasta francuskiego, różnych kremów do przekładania tortów i ciastek—to znów nie mogę sobie wyobrazić dobrze usmażonych na czystym maśle np. sznyceli, ryb, racuchów, kartofelków, a tembardziej pączków. Staroświeckie przepisy, każące mięszać do smażenia pączków i ptyśków masło ze szmalcem, nadają się tylko do marnowania tego najsmaczniejszego, najstrawniejszego, lecz i najdroższego tłuszczu.

Powiedziałam: najstrawniejszego — gdyż miałam na myśli masło świeże, wyborowe, doskonale wyprasowane lub wymyte, bez części sernika — tak zwykłego w t. zw. maśle oselkowym — powodującego natychmiastowe przypalanie się masła i szkodliwego dla zdrowia.

Jeżeli mamy masło niezbyt świeże, mocno solone, oddawna przychowywane, a tem bardziej gorzkie lub jelkie — jest ono stanowczo tłuszczem mało strawnym, a nawet, zależnie od stopnia zepsucia, bardzo szkodliwym.

Masło świeże najlepiej jest używać w stanie surowym, tylko roztopione, lub lekko zrumienione. Masło, zrumienione na czarno, czyli spalone, jest absolutnie niestrawne i chociaż znajduje zastosowanie w kuchni francuskiej — do ryb, jako „beurre noir“ w połączeniu z octem — pozatem nigdy podawane być nie powinno. Do jarzyn świeżych, do ryb gotowanych, do makaronu najlepiej smakuje masło surowe, uformowane w zgrabne kulki, czy cienkie płatki i zastudzone na lodzie lub w wodzie z lodem. Masło topione bez długiego smażenia, trzymamy tylko chwilę na brzegu blachy, aby fusy na dno opadły, poczem podajemy je w sosjerce z jajkiem siekanym, z pietruszką i t. p. lub polewamy niem potrawy. Lepiej od niego smakuje wprawdzie masło, lekko zrumienione („beurre à la noisette“), lecz jest mniej strawne.

Jeżeli podajemy masło rumiane z bułeczką, możemy bułeczkę zrumienić w niedużej ilości masła, aby była chrupiąca, a potem dodać resztę masła i tylko rozpuścić razem, nie smażąc dłużej.

Przy smażeniu mięs i ryb panjerowanych, o ile nie chcemy używać szmalcu, ani frytury, należy do masła dodawać niedużą ilość dobrej oliwy nicejskiej (z oliwek), lub bordoskiej (z orzechów ziemnych — arassydów). Nieduży dodatek oliwy nie zmienia smaku masła, a zapobiega jego przypaleniu, więc i przypaleniu smażonego artykułu.

Poza masłem czystym, krowiem, doskonałym tłuszczem do smażenia jest masło roślinne, które na całym zachodzie Europy prawie zupełnie usunęło z kuchni masło prawdziwe. Nawet ojczyzna najlepszego masła, Danja, masło krowie swojej produkcji eksportuje, a używa do kuchni masła roślinnego. Składa się to masło z tłuszczu kokosowego, arassydowego (z orzechów ziemnych) i pewnego procentu sterylizowanego mleka, nadającego mu aromat prawdziwego masła. Jeżeli kto ma wątpliwość co do strawności i pożywności masła roślinnego, może się da przekonać, jeżeli się dowie, że w stu gramach masła krowiego jest 0,7 gr. białka, 81,2 gr. tłuszczu, 0,5 gr. węglowodanów, wytwarzających 735 kaloryj; a w masle roślin-

nem 0,7 gr. białka, 81,2 gr. tłuszczu, 0,5 gr. węglowodanów, a wytwarzają one 736 kaloryj. Czyli że skład chemiczny obu tłuszczów jest identyczny. Masłu roślinnemu brak jednak prawie zupełnie witamin (życianów), w które tak obfituje świeże masło krowie. Toteż do jedzenia na surowo, jak w Warszawie mówią „do bułeczki“, należy używać tylko masło krowie, a przy smażeniu i gotowaniu witaminy i tak giną, nie ma więc co ich żałować.

Po maśle bezpośrednio należy postawić topioną słoninę. Jeśli jest ona świeża i wytopiona w niezbyt wysokiej temperaturze, nie tylko nie ustępuje w strawności masłu, lecz jest stanowczo lepsza od masła solonego, długo konserwowanego. Takiej słoniny można używać do smażenia wszelkiego rodzaju mięs, ryb, ciast, kartofli, a nawet do zaprawy mniej delikatnych jarzyn.

Znacznie mniej strawna jest słonina solona, szczególnie słonina dłużej konserwowana. Użycie jej nie jest wskazane, tembardziej, że nie ma ona zalet smakowych i wyborowego aromatu słoniny wędzonej, która w kuchni przy szpikowaniu mięsa i zwierzyny, przy gotowaniu krupników i bigosów jest wprost niezaprzeczalną, chociaż dla słabych żołądków niewskazana.

Podobnym do słoniny tłuszczem jest szmalec, bardzo do niej pod względem składowym zbliżony, jednak, ponieważ wytopiony z różnych gorszych części tłuszczu wieprzowego, ma on mniej przyjemny zapach. Ze względu na dużą topliwosć bardzo w użyciu wydajny i stąd w oszczędnej kuchni często stosowany. O ile świeży i czysto przyrządzony, jest to tłuszcz dla ludzi zdrowych nieszkodliwy. Ludziom o delikatnem trawieniu niewskazany.

W Polsce używają szmalcu do smażenia wszelkiego rodzaju ciast: racuszków, pączków, faworków i t. p. Ma on tę wadę kardynalną, że ciasta te zanafto się nim przepalają i stają się zbyt tłuste, ciężko strawne.

I tutaj muszę zwrócić uwagę gospodyń na jeden jeszcze tłuszcz zwierzęcy, cieszący się, niestety, bardzo złą sławą u gospodyń i kucharek — na fryturę wołową. Jest ona uważana za tłuszcz szkodliwy, ciężki, nieomal niejadalny. Toteż nikomu go jeść nie polecam, chociaż jego zła renoma nie zawsze jest słuszna. Polska kuchnia przecież ma kołduny z łojem, a łój jest właśnie surowcem, z którego się wyrabia fryturę. Kuchnia angielska wszystkie prawie swoje puddingi, ze świątecznym plum-puddingiem na czele, robi na łoju a kruche ciasto do „pieców“ czyli legumin owocowych i paszтетów mięsnych robi się wyłącznie na surowym łoju i smakuje wybornie.

Powtarzam więc, że frytury nikomu jeść nie radzę, natomiast gorąco polecam smażyć na niej wszystko, co wymaga bardzo wysokiej temperatury.

Jak to jedno z drugim pogodzić?

Bardzo łatwo: frytura nie pali się przy dwa razy wyższej temperaturze, niż masło, a przy smażeniu zupełnie nie wsiąka w mięso ani w ciasto, a tylko je po wierzchu rumieni. Pozostawiając więc szmalec do smażenia pączków i faworków, którym specjalny smak i aromat nadaje, wszelkie inne ciasta, wszelkie paszteciki drożdżowe, ryby i rybki, krokiety, a szczególnie kartofle surowe — czy to cienkie słomki („pailles“), czy fritki — smażyć na fryturze.

Tłuszcz ten jest niesłychanie wydajny, gdyż, jak już wspominałam, nie wsiąka w produkt smażony, delikatnie rumieni, nie pali, a ponieważ zastyga w twardą masę, daje się dosyć długo przechowywać, nie psując się wcale.

Francuskie gospodynie, jak zawsze bardzo praktyczne, mają stale w swej kuchni dwa garnczki z fry-

turą: jeden do ryb, drugi do ciast i mięs — i nigdy tej frytury po użyciu do innych naczyń nie przelewają, tylko, w razie potrzeby, jeden lub drugi garnek przystawiają do ognia.

Nawet mięso, potrzebujące bardzo silnego a przedkiego zrumienienia, jak befsztyki, filety, rumsztyki, polędwica po angielsku — można bez szkody dla smaku i zdrowia zrumienić na fryturze, poczem tę fryturę natychmiast odlać, podłożyć kawałek świeżego masła i gdy tylko się roztopi, wraz z niem podać.

Do tłuszczów roślinnych, do różnych gatunków olejów i oliwy wróć innym razem. Nie doceniamy ich znaczenia smakowego i dietetycznego, gdyż mało je znamy.

Pani Elżbieta.

PRZEPISY GOSPODARSKIE

PIEROŻKI MIĘSNE, ZAPIEKANE Z JAJAMI.

Z pół kilo pozostałego gotowanego lub pieczonego mięsa — cielęciny, wieprzowiny, drobiu lub zwierzyny — zrobić farsz, jak zwykle na pierogi, dodając smażonej cebuli, pieczarek lub grzybków świeżych, czy suszonych. Z czterdziestu deka mąki, jednego jajka, łyżeczki od kawy soli i paru łyżek wody zagnieść ciasto, jak na klusieczki krajane. Robić jaknajmniejsze pierożki. Ugotować na osolonym wrzątku, odcedzić na durszlaku, przelać zimną wodą, aby się nie pozlepiały, wymieszać z łyżką roztopionego masła. Ułożyć na muszelki lub w tygielki, wysmarowane masłem. Ile mamy muszelek lub tygielków, tyle zrobić jaj sadzonych na masle, lub poszetowych w osolonym wrzątku z łyżką octu. Na każdej muszelce kłaść po jajku. Posypać grubo tar-

tym serem z bułeczką, skropić masłem i wstawić na minut parę w bardzo gorący piec, aby się ser lekko zrumienił. Podawać wprost z pieca na śniadanie, lub zamiast pasztetu po zupie.

KOTLETY Z KURY, BITE.

W miastach sprzedają oddzielnie piersi kurze, lecz kto ich nabyć nie może, powinien wziąć całe młode kury lub duże kurczaki, piersi użyć na kotlety, a z udek, skrzydełek, grzbietów i podróbków ugotować doskonały rosół i zrobić potrawkę z białym lub pomidorowym sosem. Wykrajać ostrożnie z każdej strony kości mięso wraz z pierwszym stawem skrzydła. Skórkę zdjąć, mięso zbić jaknajmocniej, nie odejmując od skrzydłowej kości. Gdy się uformuje cieniuchny płatek, zacisnąć go lekko cytryną, włożyć w środek na koniec noża śmietankowego masła. Zwinąć zgrabnie płatek, nadać mu nożem kształt podłużnego kotleta, lekko spłaszczyć. Utarzać w mące, następnie w rozbitem jajku, na koniec w tartej bułeczce i smażyć na szmalcu lub maśle z dodatkiem łyżki najlepszej oliwy. Chodzi o to, aby te bardzo wykwinne kotlety się nie przypaliły, co często się zdarza przy smażeniu na maśle, szczególnie na maśle oselkowym, nie dosyć czysto wymytem z sernika. Solić dopiero po usmażeniu naprzód jedną, następnie drugą stronę, aby mięso zachowało całą białość. Podawać z ćwiartkami cytryny, groszkiem zielonym, fasolką szparagową, brukselką, lub inną delikatną, sezonową jarzyną.

CYKORJA BIELONA „WITLOOF“.

Do jarzyn, dawniej znanych, przybyła od lat paru bardzo wykwinna cykorja bielona, którą nie tylko na surowo, na sałatę używać można, lecz która i po ugotowaniu stanowi wyborne danie. Należy ją przedewszystkiem po oczyszczeniu z ewentualnych nadpsutych listków lub kurzu, wrzucić na lekko osolony wrzątek i gotować minut pięć najwyżej, poczem tę pierwszą wodę odlać. Następnie wkłada się ją do drugiej osolonej wrzącej wody i gotuje nie dłużej, niż 25 minut. Należy oba te zabiegi wykonać dokładnie, co do czasu: cykorja niezblanżerowana, lub przegotowana będzie gorzka.

Każdą kolbę cykorji należy zawinąć w cieniuchny plasterk przerastającej szynki. Polać sosem, zrobionym z masła, mąki i słodkiego mleka, lub, lepiej, słodkiej śmietanki. Posypać grubo serem i wstawić na minut dziesięć do średnio gorącego pieca, aby się ser rozpuścił i uformował ładną skorupkę. Zapiekać w metalowym lub ogniotrwałym naczyniu i w niem podawać na stół.

PONCZ GORĄCY.

Dwie butelki wina białego (typu win reńskich), dwie butelki wina czerwonego, dwie butelki wody i osiemdziesiąt deka cukru zagotować, odstawić, potrzymać pod przykryciem. Wcisnąć sok z trzech cytryn, wrzucić skórkę z jednej cytryny, ściętą jaknajcieńiej (w dużych płatkach, aby ją łatwo było usunąć). Wkońcu wlać dwie szklanki dobrego białego araku i, nie gotując więcej, natychmiast gorące podawać. Gotować nie należy, żeby się nie ulotnił zapach araku.

Pani Elżbieta.

PANNA z ukończonem Seminarjum ochroniarskiem i Kursem Świetlicowym szuka posady. Emilja Górecka, Będzin, Ksawerowska 37.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł., kwartalnie — 15 zł., rocznie — 60 zł.

Do innych krajów miesięcznie — 6 zł. 40 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczy” — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnoślaska 19, tel. 244-75.

Druk, Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszczy”, Warszawa, Rymarska 8.